

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce**: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 2 kwietnia 1910. Nr. 14.

Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim.

(Treść na str. 7.)



Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy drugi kwartał. Naszych P. T. Czytelników i Prenumeratorów prosimy zatem o dalsze poparcie i rychłe odnawianie przedpłaty na kwartał następny, a to celem uregulowania nakładu, kto bowiem prenumeraty naczas nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma!

Prenumerata „Nowości illustrowanych“ na cały rok z przesyłką pocztową wynosi zaledwie 16 kor., półrocznie 8 kor., a kwartalnie 4 korony.

Naszym P. T. Czytelnikom i Prenumeratorom w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem zwracamy uwagę, że ekspedycya naszego pisma na Królestwo Polskie i Cesarstwo, odbywa się w Warszawie i stamtąd też pismo nasze bywa każdego piątku rano wszystkim naszym Prenumeratorom rozsyłane.

Nie należy zatem przedpłaty z Królestwa i Cesarstwa posyłać do Krakowa ale do biura

G. UNGRA, w Warszawie,

Aleja Jerozolimska 78,

albo też można pismo zamawiać za pośrednictwem każdej księgarni tak w Warszawie, jak i na prowincyi.

Prenumerata kwartalna wynosi:

w Warszawie 1. Rbs. 80 kop.

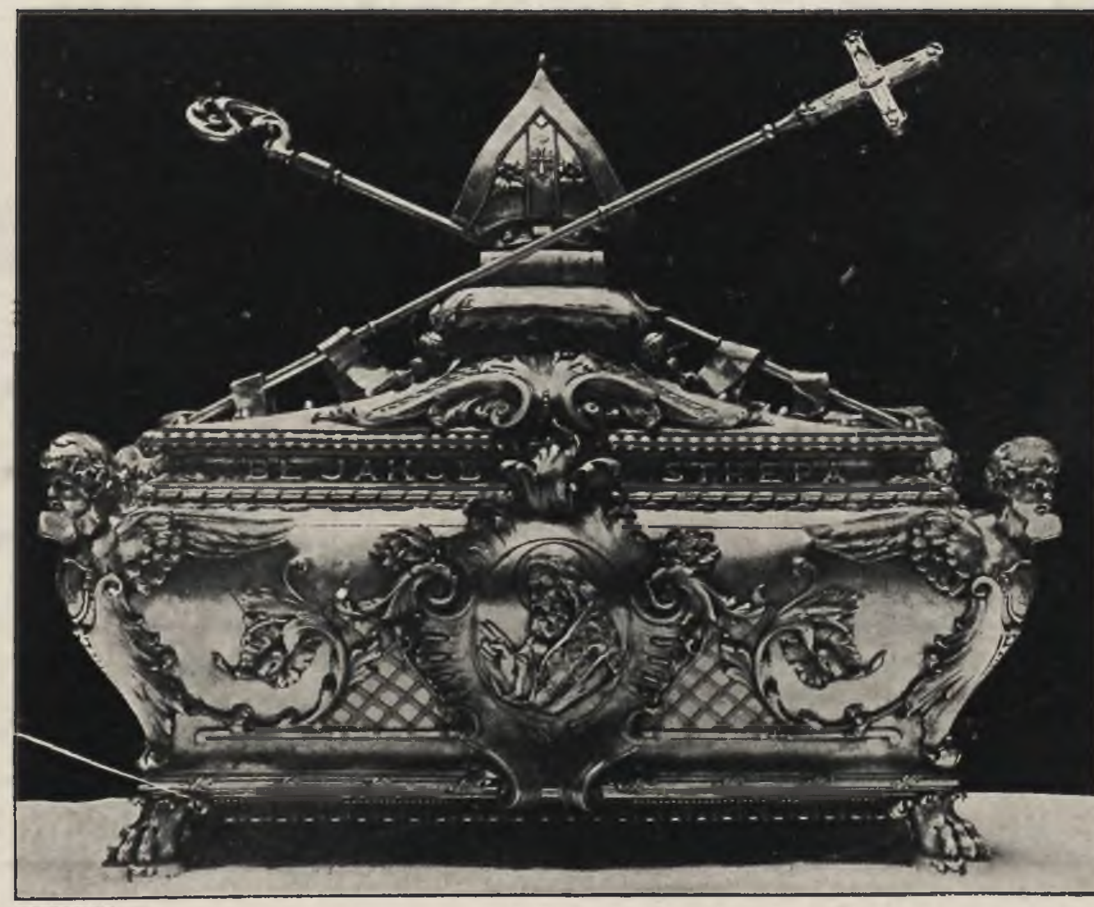
Na prowincyi już wraz z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Relikwiarzyk bł. Jakóba Strepy.

W lecie ubiegłego roku obchodzono we Lwowie uroczyście pięćsetlecie śmierci bł. Jakóba Strepy, metropolity lwowskiego i halickiego. Uroczystość ta, urządzona z inicyatywy ks. arcybiskupa Bilczewskiego, natchnęła myślą przeniesienia szczątków błogosławionego, spoczywających obecnie w katedrze lwowskiej, do nowego srebrnego relikwiarza. Relikwiarz taki, na podstawie uwag grona konserwatorów, wykonał cenony artysta rzeźbiarz Tadeusz Błotnicki. W ubiegłym tygodniu wykończono ostatecznie odlew relikwiarzyka i wystawiono na widok publiczny w muzeum przemysłowem.

Najnowsze dzieło dłuta Błotnickiego jest nie tylko zdaniem ogółu ale i zdaniem prawdziwych znawców, bodaj że najznakomitszym tworem talentu artysty i przedstawia się jako dzieło sztuki istotnie pomnikowe.

W formie trumienki pojęty, posiada relikwiarz na froncie medalion bł. Strepy, wykonany według portretu olejnego z XVII. wieku, a z drugiej strony symboliczne godła Orła i Pogoni. Na dwu węższych ścianach wyobraził artysta w płaskorzeźbie dzisiejszy widok katedry lwowskiej i kościoła w Bieczu; relikwiarz zdobią ponadto cztery narożniki w formie aniołków, a na wierzchu insygnia arcybiskupie, złożone na brewiarzu. Całość utrzymana jest w stylu barokowym.



Fot. M. Münz, Lwów.

Relikwiarzyk bł. Jakóba Strepy: Relikwiarz dłuta Tadeusza Błotnickiego.

Zauważyć jeszcze należy, że relikwiarz p. Błotnickiego jest jednem z największych dzieł, wykonanych ostatnimi czasy w srebrze. Waży on mianowicie 47 kg. i 21 dkg.

Niezwykle szczęśliwe wywiązanie się z powierzonego zadania, świadczy nie tylko zaszczytnie o talencie Błotnickiego, ale i o jego niezwykłej sumienności i pracowitości, oraz pietyzmie, z jakim do prac tego rodzaju się odnosi.



Odznaczenie funkcyonaryuszy kolejowych w Czerniowcach: Grono odznaczonych urzędników i podurzędników kolejowych w Czerniowcach z radcą dworu dr. Tschiggfreyem (X) w pośrodku.

Odznaczenie funkcyonaryuszy kolejowych w Czerniowcach.

Z okazyi otwarcia nowego dworca kolejowego w Czerniowcach w dniu 30 listopada 1909, nadał cesarz kilku funkcyonaryuszom kolejowym odznaczenie. Uroczyste przypięcie orderów, jakoteż wręczenie dekretów odznaczeń, odbyło się we wtorek dnia 22 marca b. r. przy udziale bardzo licznie zebranej grupy funkcyonaryuszy kolejowych. Przy dźwiękach muzyki kolejowej wprowadzono odznaczonego tytułem radcy dworu Dr. Hermana Tschiggfreya, kierownika ruchu w Czerniowcach, do przepysznie dywanami i kwiatami udekorowanej sali restauracyi kolejowej, gdzie urządzono mu z okazyi odznaczenia gorącą owacyę.

I to zasłużenie, gdyż jemu to w pierwszej linii zawdzięczać należy przyspieszenie budowy i oddanie dworca kolejowego do użytku publicznego.

Dr. Tschiggfrey, jeden z najwybitniejszych znawców kolejnictwa, cieszy się z powodu swoich zalet niezwykłą sympatyą, tak w kołach kolejarzy, jakoteż w sferach obywatelstwa całego kraju.

Bukowina zyskała w nim życzliwego przedstawiciela władzy, od którego w niemałym stopniu zależy rozwój handlowych i ekonomicznych stosunków. Następnie przemówił radca dworu Dr. Tschiggfrey do grupy odznaczonych a to:



Wybuch Etny: Obserwatoryum czyli t. z. „Dom angielski“ na Etnie.



Autonomia Alzacyi i Lotaryngii: Hr. Wedel, namiestnik Alzacyi i Lotaryngii.

Starszego inspektora Józefa Blumlicha i inspektora Leona Uiricha tytułem radcy cesarskiego, starszego rewidenta i kontrolora ruchu Jana Epperleina i starszego komisarza budownictwa Wacława Ferdynanda Philoppa złotym krzyżem zasługi z koroną, banmistrza Aleksandra Onuleaca srebrnym krzyżem zasługi z koroną i starszego dozorcy robotników Stanisława Broniaka srebrnym krzyżem zasługi, zachęcając ich w gorących słowach do dalszej skutecznej pracy. Na tą piękną przemowę odpowiedział radca cesarski starszy inspektor Blumrich w imieniu odznaczonych.

Po wzniesieniu trzykrotnego okrzyku ze strony radcy dworu Dra Tschiggfreya i zgromadzonych uczestników na cześć cesarza, zaintonowała muzyka hymn cesarski.

Piękna uroczystość zakończyła się odfotografowaniem odznaczonych w otoczeniu grupy uczestników na peronie dworca kolej. w Czerniowcach.

Wybuch Etny.

Jeszcze nie zdołały Włochy zapomnieć o jednej katastrofie, a mianowicie o trzęsieniu ziemi, które nawiedziło przed rokiem Kalabryę, a już nadeszły wiadomości, że jeden z największych w Europie wulkanów, Etna na Sycylii, jest czynnym. Historya tego wulkanu jest bogatą w katastrofalne wybuchy, które pociągały za sobą liczne ofiary w ludziach. Jeden z największych wybuchów miał miejsce 4 lutego 1169 r., w którym to dniu prócz wybuchu, nawiedziło Kalabryę i Sycylię straszne trzęsienie ziemi. Od r. 1603 do 1620 była Etna prawie że bezustannie czynną.

Dnia 11 marca 1669 r. nastąpił wybuch, który trwał aż do lipca tego roku. W owym to czasie lawa, płynąca ku południowi w szerokości 4300 m., zburzyła mury Catanii i zalała całą zachodnią część miasta aż do morza. Wtedy to 12 miast i wsi zostało prawie doszczętnie zniszczonych.



Wybuch Etny: Schronisko dla zwiedzających na Etnie

Etna posiada z górą 200 otworów, którymi w razie wybuchu wypływa lawa.

Depesze, nadchodzące z Catanii, donoszą, że z każdym dniem wzrasta czynność wulkanu i ilość wyrzucanej lawy. Strumień lawy osiągnął już wysokość 6 m. i płynie w kierunku miejscowości Borello i Belpasso. Wybuchom towarzyszy przeraźliwy huk podziemny, który ludność okoliczną napawa wielkim strachem. Dotychczas lawa płynie strumieniem na 2 klm. szerokim i zalała już przestrzeń 12 klm.

Wojsko włoskie usuwa mieszkańców z ich domostw i pilnuje dobytku przed rabusiami i złodziejami, którzy podobnie jak i w czasie zeszłorocznego trzęsienia ziemi chcą wykorzystać nieszczęście ludzkie.



Wybuch Etny: *Valle del Bove,* utworzony z zastygłej lawy w Nicolosi na Etnie.

Odkrycie gniazda bandyckiego w Warszawie.

Szereg niezwykle śmiałych napadów bandyckich, dokonanych ostatnimi czasy w okolicach Warszawy, skłonił warszawską policyę śledczą do rozciągnięcia bacznego dozoru w gminach podmiejskich lewego brzegu Wisły, gdzie po różnych zakątkach ukrywa się mnóstwo bandytów, operujących w dalekim nawet promieniu od Warszawy.

Wysłany na obserwacyę jeden z ajentów, przepędził kilka dni na Czystem, a zachowaniem się swojem i zewnętrznym wyglądem zdołał zyskać sobie zaufanie wszelkiego rodzaju złodziei i opryszków. Jak włóczęga, któremu dawne sprawki nie pozwalają wychylać głowy na światło dzienne, nocował po różnych spelunkach, a równocześnie bacznie nadsta-

wiał uszu na najrozmaitsze nowinki i sekrety, które po tych norach sobie wzajemnie opowiadano. Tak ukrywając sprytnie swoją właściwą rolę, dowiedział się ów ajent policyjny, że w jednym z domów na Czystem, przy końcu ul. Dworskiej, za zakładami ga-



Autonomia Alzacyi i Lotaryngii: Ks. August Wilhelm, przyszły książę dziedziczny Alzacyi i Lotaryngii.

zowymi, mieszkają groźni bandyci, którzy są postrachem całej okolicy, a których wszyscy złodzieje otaczają niezwykłym szacunkiem. Bliższa obserwacya pozwoliła mu istotnie przekonać się, że dom ten, należący do niejakiego Abramowicza, jest punktem zbornym wielu band rozbójniczych i że stąd wychodzą wyprawy w dalekie nawet strony, złożone nieraz z kilkunastu bandytów.

Widocznie i jednak bandyci zwęszyli, co się święci bo zamierzali przenieść się w inne miejsce, aby zmylić ślady tropiącej ich policyi. Powiadomiony wczas o tem ajent, dał znać policyi śledczej, która otoczyła dom Abramowicza właśnie w chwili, gdy bandyci gotowali się do odjazdu na przywołanej furmance. Dwudziestu zbrojnych ajentów otoczyło to gniazdo bandyckie i zaskoczyło bandytów, gotowych już do drogi. O stawianiu oporu nie mogło już być mowy. Pięciu niebezpiecznych bandytów i pobytowców wpadło w ręce policyi. Są to dwaj od dawna poszukiwani bracia Jarumińscy oraz ich wspólnik Wietrzak a ponadto dwaj pobytowcy, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa brali udział w ostatnim głośnym napadzie na dwór w Daniewicach. Każdy z tych bandytów miał przy sobie brauningi, pochodzące jeszcze z czasów napadów na strażników i policyantów. Prócz pięciu powyższych rzezimieszków aresztowano Bronisławę Marczakową, gospodynię domu złodziejskiego, a przy niej znaleziono 12 nowych rewolwerów systemu Smitha i Wessona.



Odkrycie gniazda bandyckiego w Warszawie: Broń znaleziona u bandytów na Czystem.

Wiadomość o odkryciu tego gniazda bandyckiego wywołała w Warszawie uczucie prawdziwej radości w szerokich kołach ludności, teroryzowanej od dłuższego czasu przez tych opryszków.

Autonomia Alzacyi i Lotaryngii.

Rządy pruskie w Alzacyi i Lotaryngii nie różnią się niczem od rządów pruskich w ziemiach polskich. Szowinizm prusko-niemiecki z równą zaciekłością zwraca się przeciw Francuzom, zamieszkującym Alzacyę i Lotaryngię, jak i przeciw Polakom, zamieszkującym dawne ziemie polskie.

Po zagarnięciu przez Prusy przed 40 laty tych dwóch prowincyi, kwestya alzacko-lotaryńska była stale, bo być musiała, kością niezgody między Francyą a Niemcami. Polityka rzeczypospolitej francuskiej, jawnie czy skrycie dążyła zawsze do odzyskania tych dwóch prowincyi i do odwetu na Niemcach. I dziś kwestya ta, aczkolwiek pozornie ucichła, budzi poważne obawy zamącenia pokoju europejskiego, tembardziej że szowinizm i buta pruska nie zna granic ani okiełzania.

Przed miesiącem kwestya alzacko-lotaryńska znowu stała się aktualną dzięki upominkowi kotylionowemu, przesłanemu przez żonę namiestnika Alzacyi, hr. Wedla, księdzu i dziennikarzowi francuskiemu Wetterlè, będącemu zarazem członkiem alzacko-lotaryńskiego wydziału krajowego.

Ks. Wetterlè nie mógł skorzystać z zaproszenia na bal namiestnikowski, bo właśnie odsiadywał karę dwumiesięcznego więzienia za obrazę pewnego dyrektora niemieckiego gimnazyum. Aby dać dowód swej sympatyi, przesłała mu hrabina Wedel do więzienia mały upominek kotylionowy wraz z listem pisanym po francusku.

Prasa niemiecka dowiedziawszy się o tem, uderzyła na alarm i zarzucając hr. Wedel, jako żonie namiestnika Alzacyi, zdradę narodową, poczęła domagać się dymisyi hrabiego Wedla.

Z chwilą, gdy sprawa Alzacyi i Lotaryngii stała się znowu aktualnym tematem politycznym, w pewnych kołach niemieckich podjęto myśl nadania autonomii tym prowincyom. Cesarz Wilhelm nosił się z myślą, by Alzacyę i Lotaryngię uczynić krajem dziedzicznym dynastyi Hohenzollernów. Książę August Wilhem, czwarty syn cesarza, miałby objąć dziedzictwo nad temi Francyi zrabowanemi prowincyami. Tymczasem w kołach posłów południowo-niemieckich zamiar ten napotkał na silny opór, bo oddanie Alzacyi i Lotaryngii Hohenzollernom oznaczałoby zwiększenie wpływu Prus wobec innych państw związkowych.



Król serbski w Warszawie: Pożegnanie króla Piotra serbskiego (1) na dworcu warszawskim przez dygnitarzy miejscowych. 2. Generał gubernator Skałłon; 3. Oberpolicmajster Meyer.



Autonomia Alzacyi i Lotaryngii: Hrabina Wedel.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

15

(Ciąg dalszy).

Podniosłem się i stanąłem naprzeciw niego, uczyniłem nad sobą wysiłek, by pozostać spokojnym i zapytałem obojętnym głosem:

— I przybyłeś tutaj, mój synu, jedynie, by mnie ocalić?

— Przybyłem tutaj — odparł z zaciśniętemi kułakami, z natężonemi muskułami twarzy — by ocalić Łucyę Weill!

— Nie uda ci się to! — rzekłem mu stanowczo.

— Uda mi się! — odpowiedział dumnie... Nie robię sobie iluzyi co do pojedynku, jaki się między nami wywiąże. Wszystkie twoje wysiłki zdążają do ocalenia Teddy i w interesie twoim leży oskarżać Łucyę!... Ja jednak będę tutaj, by oskarżać Z..., a nie zapominaj o mem znaczeniu, jako lekarza alyenisty i o wyznaniu Eweliny...

Nie panując nad sobą, podbiegłem do Williama, schwyciłem go za ręce i przyciskając go do swej piersi, zawołałem:

— Ty nie uczynisz tego, Williamie!... Dziecko drogie, zabraniam ci czynić to!... Nie masz prawa korzystać z sekretu Eweliny!

William oswobodził się z mego uścisku... Odsunął się na kilka kroków, nie spuszczając jednak ze mnie swych oczów, potem rzekł powoli:

— Ach, tak! sekret Eweliny jest więc zarazem i twoim sekretem?

Rażony tym celnym strzałem, pozostałem bez odpowiedzi...

William wołał w podnieceniu:

— Bywają chwile, gdy wątpię, czy ty rzeczywiście jesteś Brentano... tak Brentano, przyjaciel Nelly Burlington, mej ukochanej matki!... Bywają takie straszne chwile, jak ta... gdzie wszystko skłania mnie do uważania cię za ojca, ale nie mojego, lecz kogoś innego... tak, Jonatanie!... Przez miłość dla Eweliny powiedz mi prawdę!... Kim ty jesteś?... Jesteś?...

Jakiś straszny ból ścisnął mnie za piersi...

William Duncan przerwał jednak swe wyznania... Oczy swe odwrócił ode mnie... Opuścił powieki, patrzył na podłogę, przyglądał się dywanowi i nagle, nie mogąc potamować swego wzruszenia, wybuchł:

— Przebacz mi, mój ojcze!... Ach, Jonatanie, przebacz mi te głupie przypuszczenia!... Ja nic, nic nie wiem sam... Ja nie wiem nic!... Wybacz mi, żem sprawił ci tę przykrość!

I wyciągnął ku mnie swe ręce. Przycisnąłem go znowu do swej piersi i ucałowałem czule... Pojedynek więc nasz miał zakończenie, jakiego ani nie przypuszczaliśmy, ani o jakie nie staraliśmy się! Jeżelibym w tej najtragiczniejszej chwili swych tragicznych przygód miał choć trochę przenikliwości, urzekłbym mógł położenie swe w prawdziwem świetle!... Po upływie półtora roku powtórzyła się znowu sytuacya, w jakiej się już znajdowałem po pierwszem morderstwie Polidora.

Powróciliśmy do punktu, skąd zaczęła się nasza awantura. Wszystkie nasze postępy i czyny okazały się daremnemi. Wszystkie szczęśliwe i nieszczęśliwe wypadki, jakie przeżyliśmy od tego czasu, pozostały bez wpływu na nasz los. I siedząc teraz w gabinecie swym, w pałacu przy 34 avenue pod nazwiskiem Jonatana Brentano, byłem tylko rzeźbiarzem Barrabasem z przed półtora roku, klęczącym nad zwłokami swej żony, Gabryeli!...

Położenie powtarzało się w jednakowych sytuacyach i przy udziale tych samych osób, Polidora i Łucyi Weill. Zmieniły się tylko zewnętrzne warunki. Nie mogłem się już chwytać dawnych pomysłów, by ocalić Polidora, Teddy bowiem siedział już w więzieniu, oskarżony o zabójstwo Joego Duncana!... Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko zaufać pomysłowości pana Tecka, który połączył się z obrońcą mego syna i szukał wszelkich sposobów, by uchronić go od haniebnej śmierci prądem elektrycznem!... Ostatnim sposobem było przekupienie sędziów i tego środka zaczęli używać adwokaci. Z drugiej strony William i obrońca Łucyi rywalizowali w gorliwości, by ocalić swą klientkę! Wychodziło jednem słowem na to, że miliony zamordowanego służyły obecnie do oswobodzenia jego zabójców! Ja jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że nie stało już tego, kto nas wyprowadził z wszelkich niebezpieczeństw i że Polidor, zabijając Joego, postąpił jak ten głupiec z bajki, który z obawy przed kradzieżą zabił kurę znoszącą złote jaja. Teraz staliśmy wszyscy wobec losu jak pajace bez woli, zabrakło bowiem ręki, która nami kierowała.

Pau Teck, który nie przestawał wyciągać odemnie coraz to nowych sum, (zdaje mi się obecnie, że wszyscy trzej adwokaci zmówili się, by obedrzeć mnie i Williama ze skóry), przybył pewnego ranka do mnie i zawiózł mnie do więzienia, w którem był zamknięty Polidor. Powiedział mi, iż za cenę złota kupił milczenie dozorcy i że mogę obecnie porozmawiać ze swym adoptowanym synem, czego sędzia zabraniał mi dotychczas... Można wyobrazić sobie moją radość z tego powodu.

— A gdybyśmy tak urządzili plan ucieczki? — rzekłem.

— Nie można nawet i myśleć o tem — odpowiedział Teck.—Niech pan będzie zadowolony z tego pierwszego rezultatu mej przedsiębiorczości.

I weszliśmy do więzienia, które było potężnym i ponurym gmachem, stojącym na brzegu Hudsonu. Zacząłem nabierać nadziei! Wreszcie mogę zobaczyć się ze swem dzieckiem, pocieszyć je, uspokoić, wlać weń trochę otuchy. Spodziewałem się, że zastanę Polidora przybitego, nękanego wyrzutami sumienia za swój wstrętny czyn. Przypuszczałem, że wchodząc do jego celi, będę miał ten sam widok, jakiego już raz zaznałem, gdym patrzył na niego w domu zdrowia Williama! Zamiast jednak tego, znalazłem się w obecności uśmiechającego się swobodnie chłopca, który przyjął mnie z miną prawie wesołą, z żywemi oczami, z rękami serdecznie ku mnie wyciągniętemi...

Pan Teck usunął się, mówiąc:

— Ma pan, master Brentano, tylko kwadrans czasu przed sobą!

I wyszedł z dozorcą, pozostawiając nas samych...

— Ojcze mój, jakże się cieszę — zaczął zaraz Polidor — że jeszcze raz jeden mogę cię widzieć! Nie mamy czasu do stracenia na próżne gadanie... Siadaj i dozwól mi mówić... Wiem od swego obrońcy, jakie wysiłki czynicie z Williamem, by ocalić mnie, William, by ocalić Łucyę! Jesteście jednak jednakowo naiwni!

— Dlaczego jednakowo naiwni, moje dziecko?

— Ponieważ wyrzucacie napróżno wielkie sumy!... Gdybyś dał mi te pieniądze w Filadelfii, nicby się z tego nie stało. ...Nie czas jednak użalać się nad przeszłością, co się stało, to się nie odstanie i ani ja, ani ty, ani nikt na świecie nie może już tego odwrócić!... Pozwalają mi tu palić... Chce ojciec palić?... Jest to papieros z dobrego marylandu.

Stałem zdumiony jego swobodą, jego spokojem...

— Zastanów się, mój nieszczęsny synu!... Nie chodzi tu o Łucyę Weill!... Chodzi o ciebie tylko, którego chcę ocalić za wszelką cenę!

— Masz w takim razie czas do tracenia! — odparł Polidor obojętnie.

I po zapaleniu papierosa zaczął mówić spokojnie, bez żadnej trwogi, nie spiesząc się:

— Przedewszystkiem chodzi zawsze o Łucyę Weill!... Powiedziałem, że William jest naiwnym, chcąc ocalić Łucyę nieskutecznymi środkami... Jest tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby uwolnić Łucyę, nie wydając na to ani jednego dolara... tym człowiekiem jestem ja... Tę jedyną wyższość mam nad Williamem Duncanem i jej nie ustąpię... By ocalić Łucyę, przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność... Powiedziałem już sędziemu i powtórzę to przysięgłym, iż Łucya nie przyjmowała najmniejszego udziału w tem zabójstwie milionera, ani w jego uplanowaniu, ani w wykonaniu, iż nie wiedziała wcale o mych zbrodniczych planach i że jest biała jak gołąb... Widzisz więc, ojcze, że William swą szpadą dziurawi tylko wodę i jak głupiec wyważa silą otwarte drzwi.

— Lecz ocalając w ten sposób tę przeklętą dziewczynę, sam się gubisz stanowczo... Usuwasz wszelkie okoliczności łagodzące, któremi chce cię bronić twój adwokat.

— Takiem już jest moje postanowienie — powtórzył stanowczo Polidor — i dlatego powiedziałem, że jesteś tak naiwny jak William; uparłeś się wyrzucać bez miary pieniądze, które zebrał Joe!

— Polidorze — zawołałem — będę miał jeszcze jeden środek, by ocalić cię mimo twych chęci!... Twój adwokat będzie dowodził twego pomieszania zmysłów i twej niepoczytalności! Jest nadzieja, że to wpłynie na przysięgły. Precedensy z twego życia...

— Precedensy! — przerwał mi z goryczą — właśnie z powodu tych precedensów chcę z sobą skończyć... Dosyć już mam tych wszystkich odpowiedzialności i aby im nie podlegać, pragnę cię zwolnić z przysięgi, którą złożyłeś przy zwłokach mej drogiej matki.

Powstał i zaczął przechadzać się po celi.

— Tak — mówił dalej spokojnie i bez widocznego wzruszenia — ty nie rozumiesz, iż dobrze jest, bym umarł, iż koniecznem jest, bym umarł!... Czegóż ja więcej mogę oczekiwać od Łucyi Weill, mej ukochanej towarzyszki, która mi dała już zażyć nadziemskich rozkoszy? Doszedłem do szczytów miłości... byłem najszczęśliwszym z ludzi!... Niczego już więcej nie mogę się spodziewać ani od życia, ani od miłości, ani od Łucyi Weill, która jest życiem i miłością!... I ty chciałbyś, żebym ja dla jakichś drobnostek albo z bojaźni przed karą, która mnie oczekuje, zgodził się żyć jeszcze?... Żyć tem marnem, nędznem życiem bez przyjemności, bez wrażeń, a może z wyrzutami i napewno z żalem! Nie! nie! byłoby to szaleństwem! Byłem nadziemsko szczęśliwy i chcę też umrzeć szczęśliwy!... Odpowiednia chwila albo teraz nadeszła, albo już jej nigdy nie będzie!

I Polidor zatrzymał się nagle przedemną, uśmiechnięty.

— A przytem mam jeszcze dług! — rzekł poważnym głosem...

Rzucił papierosa na podłogę i mówił dalej:

— Mam dług... dług, który zaciągnąłem względem ciebie i względem mej biednej matki! Nigdybym zapewne nie znalazł już okazyi do spłacenia go! Tłum może widzieć w mem skazaniu na śmierć i w egzekucyi tylko słuszną karę za zbrodnię przy 34 avenue! My dwaj, mój kochany ojcze, będziemy widzieli w tem co innego!... My będziemy widzieli to, co istotnie spoczywa w głębinach tego wszystkiego... logiczne dopełnienie się losu Polidora Barrabasa, zgodnego z jego tajemnemi życzeniami... Czyż nie oznajmiłem ci ojcze, po... wypadku w Bry, że samobójstwo me nie byłoby dostateczną karą?... Czyż nie powiadomił cię Z... w swej celi nr. 13 o wzgardzie, jaką ma dla wszystkiego, co nie jest Łucyą Weill?... I ty chcesz, by w tej jedynej chwili, kiedy mój prawdziwy los się dopełnia, Teddy Brentano był tak podły i dbał o życie, jak Polidor Barrabas!... Bądź tak odważny, mój ukochany ojcze, jak nim jest twój syn!... Czyś nigdy jeszcze w życiu nie zaznał tego szczęścia, by patrzeć prosto w oczy śmierci?... Czy mam ci powtarzać, że twój prawdziwy syn Polidor umarł przed półtora rokiem po wypadku, jaki się mu zdarzył z jego matką, że sam sobie wymierzył sprawiedliwość, jak to uczynić był powinien, topiąc się w Marnie!...

...Z oczu popłynęły mi gorące łzy... Wyciągnąłem ręce do Polidora...

— Żegnaj, mój synu — rzekłem. — Może ty jeden masz racyę. Przebaczam ci, jak i matka musiała ci już przebaczyć!... Żegnaj!

...Pan Teck i dozorca położyli koniec naszym czułościom...

— I cóż? — zapytał mnie adwokat, gdyśmy opuścili progi więzienia. — Dodał mu pan nadziei?

XVIII.

— Jonatanie! — rzekł mi William Duncan przy wyjściu z pierwszego posiedzenia sądu — oddasz mi tę sprawiedliwość, iż w zeznaniach swych zachowałem niezwykłą dyskrecyę... Nie chciałem obciążać Teddy z dwóch względów. Po pierwsze, ten nieszczęśliwy jest, jakby to nie było, bratem mej żony i wyjawiając jego prawdziwe nazwisko, rzuciłbym cień niesławy na nią i na dwoje moich dzieci... Zastanawiałem się nad tem. Lepiej będzie, gdy ten nieszczęśliwy spłaci swe długi względem społeczeństwa pod przybranem nazwiskiem!... Ten pierwszy jednak wzgląd, który okazał się koniecznym, choćby tylko dla zachowania w czystości naszego honoru, ustępuje, zdaje mi się, miejsca drugiemu...

— Jakiż to ten drugi wzgląd?

— Czysto uczuciowy! Pojmujesz dobrze Brentano, że tak ja, jak i ty, nie mamy najmniejszego prawa być sędziami Polidora Barrabasa, zabójcy swej matki! Co zaś się tyczy Teddy, mordercy kata Nelly Burlington, to ja nie mogę mieć do niego żadnego żalu osobistego... Nawet raczej powinienem żywić coś wręcz przeciwnego!... Rachunki do załatwienia mogę mieć jedynie z mężem Łucyi Weill!...

— Ciągle powracasz do tej ordynarnej wspólniczki...

— Bo ją kocham ciągle! — odparł William energicznie... Myliłem się co do mych własnych uczuć!... Łudziłem się iluzyami, jak ty, jak Marcadian, wuj Eweliny... i dzisiaj doświadczam tylko ogromnych wyrzutów, że poddałem się obcym wpływom, które mnie sprowadziły z drogi, jaką sobie wytknąłem!

W chwili tej wchodziliśmy do cabu, który czekał na nas przed pałacem sprawiedliwości... Zatrzymałem się, stojąc już nogą na stopniu...

— Czy i mój wpływ, drogi Williamie, nazywasz obcym?

— Wchodź że, Jonatanie!... Siadaj!... Wytłomaczę ci się ostatecznie!... Jest to zupełnie widocznem, iż sądziłeś, że działasz dla mego dobra! Nie chciałeś, bym poślubił Łucyę Weill i przytaczałeś na to takie same powody, jak i Joe Duncan... Ja miałem wtedy tak ważne racye, by tobie być posłusznym, jak i by sprzeciwiać się życzeniom Joego!... Teraz gdy po upływie dłuższego przeciągu czasu widzę wszystko jasno, spostrzegam, iż działałem wówczas pod przymusem! Wyobrażałem sobie, że nie kocham już Łucyi Weill. Wyobrażałem sobie, że kocham natomiast Ewelinę Barrabas! Wszystko to jednak działo się pod wpływem mego prawdziwego ojca, Jonatana Brentano, który stanął niespodzianie na drodze mego życia!... Jonatanie, mój ukochany, mój prawdziwy ojcze, byłeś złym moim duchem!

Nie chciałem poddać się jego wzruszeniu. Wróciłem z powrotem do kwestyi, od której oddalił się...

— Drugi względ, dla którego oszczędzałeś Teddy?

— Jest nim nic innego, tylko wdzięczność! Teddy postępował jak najlepiej wobec sądu, by oczyścić Łucyę od oskarżenia o współudział w zabójstwie i tylko dzięki jemu, a nie mnie, Łucya zostanie uwolniona...

Gdyśmy wychodzili z cabu przed restauracyą Martina, dokąd zaprosiłem Williama na obiad, dodał żywo:

— To biedaczysko kochał Łucyę... prawie tak, jak i ja!

...Musiałem się teraz hamować bardzo. Nie mogłem okazywać wobec Williama za wiele czułości dla Polidora, zbyt wiele interesowania się Eweliną, by nie wzbudzać w jego niespokojnym umyśle podejrzeń, które mi okazał, gdy rzekł:

— Bywają chwile, gdy myślę, czy ty rzeczywiście jesteś Brentano!...

Od chwili rozpoczęcia posiedzeń sądowych, William nie powracał już do tego nieszczęsnego zdania... Nie okazywał już najmniejszego śladu podobnych podejrzeń!... Stał się na nowo względem mnie, jeżeli nie synem pełnym miłości, to przynajmniej dzieckiem, odnoszącem się z uszanowaniem do Brentana, kochanka Nelly Burlington!... W miarę jak się zbliżała chwila wydania przewidywanego niestety, wyroku w sprawie Duncana, smutek, jaki mnie gnębił, przybierał nowe formy... Oswoiłem się z myślą utraty Polidora!... Było to dla mnie nieszczęście, którego nie mogłem uniknąć! Musiałem się poddać konieczności!... Polidor zostanie skazany na śmierć! Zostanie pozbawiony życia prądem elektrycznym. ...Była to jak niegojąca się rana w mem sercu!...

Pod koniec jednak rozpraw ogarnęła mie nowa trwoga, inna zmora zaczęła tłoczyć mi piersi... Tak mnie przejął lęk o Ewelinę, iż rozpacz z powodu nieuniknionego losu Polidora zeszła jakby na drugi plan. Domyśliłem się zamiarów Williama względem Łucyi Weill! William dotknięty był tym samym szałem miłosnym dla tej dziewczyny, co i Polidor. I tylko jeden Joe, król papierowy, wiedział jakim będzie rezultat jego intryg!... Joe nie mylił się!... Życiem swem zapłacił za tak okrutną zemstę!... Teraz jednak i ja już przeczuwałem, że ta zemsta na synu Nelly Burlington, swej cudzołożnej żony, skończy się czemś monstrualnem!

...William zresztą nie krył się długo z swemi zamiarami... Pewnego dnia oznajmił mi w sposób jak najprostszy:

— Sam zapewne przypuszczasz, mój drogi ojcze, że ja już nie powrócę do Francyi!... Dla żony swej wyznaczę szczodrą pensyę... Gotów jestem do wszelkich poświęceń pieniężnych, byle tylko otrzymać rozwód i poślubić Łucyę Weill!

Zapanowałem nad niepokojem i odparłem chłodno:

— A obowiązek Williamie?

— Właśnie czynię to z powodu obowiązku, którego nie dopełniłem względem Łucyi, mej pierwszej towarzyszki życia!

— A dzieci twoje... Piotr i Zuzanna?

— Są to dzieci przedewszystkiem Eweliny!... Będą miały zabezpieczoną piękną przyszłość! — odparł mi spokojnie.

Te zimne słowa padły na me serce jak ciężkie kamienie. Zdawało mi się, że słyszę jeszcze, jak Polidor mówi o Łucyi Weill!... Ach! co za czarowny wpływ wywiera ta nędznica na mężczyzn!... Jakim postępem uda mi się obronić prawa dzieci mej córki Eweliny?... Jakiego sposobu użyć, by odłączyć Williama od Łucyi Weill?... Z goryczą myślałem o tej odległej tragikomedyi, jaką odegraliśmy w pałacyku w Neuilly! Takiego jednak inscenizatora, jakim był król papierowy, już nie było i nie miałem nikogo, ktoby mi mógł pomódz swą radą!

...William zdawał się nie odczuwać mych myśli, gdy mówił mi naiwnie:

— Między tobą mój prawdziwy ojcze i Łucyą, mą prawdziwą żoną będę najszczęśliwszym z ludzi!

William doszedł więc do tego samego punktu szaleństwa, co Polidor i w ten sam sposób pojmował swe szczęście, co i mój nieszczęsny syn.

— — — — — — — — — — — — — — —

I oto w jakich niezwykłych warunkach zostało sparaliżowane stanowcze postanowienie lekarza aljenisty, by poślubić Łucyę Weill po jej uwolnieniu i w jaki sposób, gdy uważałem się już za bezbronnego względem Williama, Łucya Weill przyszła mi osobiście z pomocą i znalazła wyjście z tego trudnego położenia.



Oddasz mi tę sprawiedliwość, że w zeznaniach swych zachowałem niezwykłą dyskrecyę ..

— — — — — — — — — — — — — — —

...Mimo dzielnej obrony Tecka, który zastępował właściwego adwokata Polidora, sędziowie przysięgli, będący odbiciem opinii publicznej, wydali wyrok śmierci, jaki zresztą łatwo było przewidzieć.

Byłem na każdem posiedzeniu sądu i z uwagą słuchałem rozpraw, brakło mi jednak odwagi przyjść i na ostatnie i słuchać, jak prokurator żąda głowy mego syna! Postanowiłem pozostać u siebie i odmówiłem swego towarzystwa Williamowi, którego gorączkowa niecierpliwość ujrzenia Łucyi Weill wolną, w jaskrawem była przeciwieństwie do mego ponurego zdania się na los!... William za nic na świecie nie chciał opuścić tego najgłówniejszego posiedzenia...

Umówiłem się z panem Teckem, iż zawiadomi mnie telefonem o wyroku... Koło piątej godziny wieczorem odezwał się dzwonek w aparacie... Adwokat Polidora oznajmił mi, iż przysięgli po bezlitościwej replice prokuratora udali się na naradę... Od piątej godziny zaczęły się me najsroższe męczarnie, gdym bez sił, bez myśli, bez przytomności siedział w swym fotelu i wodził błędnie oczami po biurku!... Przez czterdzieści pięć minut pozostawałem jakby pozbawiony mózgu i woli, przeżywając najgorsze chwile swego życia. Johnowi Fellowowi, który został mym sekretarzem, zabroniłem najsurowiej, by pod żadnym pozorem nie wchodził do mego gabinetu!... Te czterdzieści pięć minut, których potrzebowali przysięgli, by uznać Teddy winnym morderstwa bez żadnych okoliczności łagodzących, wydały mi się całą wiecznością! Wreszcie o trzy kwadranse na szóstą odezwał się znowu dzwonek w telefonie... Schwyciłem słuchawki... Usłyszałem suchy głos adwokata:

— Było to nie uniknione, master Brentano!... Teddy na śmierć... Łucya uwolniona!...

I chociaż od dłuższego już czasu byłem przygotowany na taki epilog sprawy Joego Duncana, nie mogłem powstrzymać jęku, jaki dobył mi się z piersi. Zakręciło mi się w głowie, powieki zapadły na oczy, puściłem bezwiednie słuchawkę i padłem bez czucia na biurko.

...Jak długo trwało moje omdlenie, nie jestem w stanie tego określić, mogę tylko powiedzieć to, w jakich okolicznościach wyrwał mnie z niego John Fellow.

Mimo stanowczego zakazu, jaki mu wydałem, wpadł on z hałasem do mego gabinetu!... Wtargnięcie jego do pokoju było tak gwałtowne, iż odrazu ocuciło mnie z omdlenia. Wstałem z fotelu z miną człowieka, który uwolnił się dopiero co od strasznej zmory. Zaledwie jednak wstałem, opadłem nań z powrotem! Za Fellowem wpadli zadyszani, w porwanych ubraniach, z błędnemi oczami, z twarzami zwierzęco wykrzywionemi, szarpiąc się wzajemnie, William Duncan, negr Dżim i Łucya Weill. Scena ta była tak hałaśliwa, tak niespodziana i pełna jakichś pogróżek, iż schwyciłem instynktownie za rewolwer i bezwiednym ruchem samoobrony wymierzyłem go w stronę przybyłych. John Fellow wstrzymał mnie za rękę, wołając:

— Trochę zimnej [illegible]

Rozejrzałem się w [illegible]

William Duncan z twarzą nabrzmiałą, z oczami podbitemi, z rozciętą górną wargą, rozbitym nosem, oderwanem uchem i z całą twarzą pokrytą od czoła do podbródka krwią, drżał z bezsilnej złości!... Łucya Weill blado-zielona ze strachu, z potarganemi włosami, trzymając w ręku swój wielki, niebieski, filcowy kapelusz z czerwonym ptakiem, gestykulowała jak pajac, nie mogąc wymówić ani jednego słowa.

Jeden tylko Dżim ze swemi białemi gałkami ocznemi, które mu wychodziły z orbit, z swym wielkim, czarnym, zakrwawionym kułakiem, wyciągniętym w mą stronę, miał tyle przytomności umysłu, iż do swych energicznych ruchów dodawał i słowa... krzyczał jednak raczej, niż mówił:

— Panie Jonatan! — wołał gniewnym i strasznym głosem... żądam od panie sprawiedliwości! Panie tylko jest moim jednym panem... i Łucya i ja prosimy o opiekę!

Było to coś niezwykłego, gdy Dżim, który uderzeniami swego potężnego kułaka ubezwładnił Williama, prosi mnie o pomoc przeciw lekarzowi al[illegible]niście, niemogącemu się ruszać...

Łucya zdołała wreszcie zaczerpnąć oddechu [illegible]pierając żądanie negra, wołała:

— A zresztą, koniec już! Dosyć mam te[illegible]dziny Duncanów. Chcę być wolną, swą własną panią! Wolę zrzec się natychmiast całego majątku, który mi dał tylko trzy tygodnie więzienia i miejsce na ławie oskarżonych, bylem tylko odzyskała swą wolność!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rządy angielskie w Egipcie.

Od czasu pobicia wojsk powstańczych Arabi'ego w dniu 13 września 1882 r., Egipt dostał się pod wyłączne panowanie Anglii. By zabezpieczyć się



Rządy angielskie w Egipcie: Mahomet Said-basza, nowy prezydent gabinetu.

przed ponowną rewolucyą wojskową, generała Arabi'ego i pięciu innych wyższych oficerów wojsk egipskich skazano na karę śmierci, którą później zamieniono skazańcom na dożywotnie wygnanie, a Anglia i ówczesny angielski rząd egipski odetchnął na pewien czas spokojniej, pozbywszy się obawy ponownej walki zbrojnej z powstańcami egipskimi. Anglia stała się faktycznie władczynią Egiptu, wspólna kontrola finansowa angielsko-francuska została zniesioną, a miejsce jej zajął finansowy doradca kedywa z ramienia Anglii. Nowa konstytucya, ułożona przez lorda Dufferina, powołała do życia dwie izby: prawodawczą, złożoną z 14 członków i izbę notablów z 46 członków.

Zaledwie nowa izba zaczęła pracę nad uregulowaniem stosunków krajowych, a głównie nad uporządkowaniem finansów krajowych, aż oto znowu wybuchło groźne powstanie w Sudanie egipskim, który rozpaczliwy stawiał opór nowemu rządowi.

Wpływ Anglii w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia, z roku na rok róśł mimo protestów Francyi, a lord Kitchener posunął się aż do czwartej katarakty Nilu i zdobył Dongolę, szerząc i wzmacniając panowanie angielskie w Egipcie.

W r. 1892 objął tron Abbas II, który próbował się wyzwolić z pod opieki angielskiej, ale napróżno i pozostał nadal maryonetką w ręku rezydentów angielskich w Egipcie. Rząd krajowy, aczkolwiek posiada znaczny zakres autonomii, jest pod wyłącznym wpływem tych rezydentów.

Z biegiem czasu począł się jednak wśród wykształceńszych kół egipskich budzić na nowo duch rewolucyjny, którego agitacya zmierza do podkopania wpływów Anglii i uwolnienia się z pod supremacyi rezydentów angielskich. Ostatni zamach na byłego premiera rządu egipskiego, który był jednym z największych anglofilów, był najoczywistszym dowodem, że ruch młodoegipski nie przebiera w środkach walki.

Nowomianowany premier, Mohamet Saïd-basza, ma podobno w myśl nakazu Anglii, w pierwszym rzędzie rozpocząć tropienie zwolenników ruchu młodoegipskiego, którego rozwój wywołuje w Londynie słuszne zaniepokojenie.

Że Saïd basza nie znajdzie sympatyi wśród krajowców, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim.

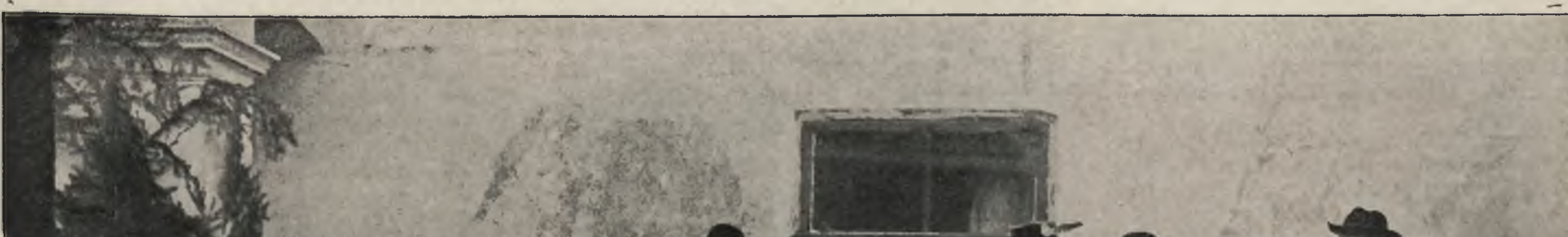
Sejm węgierski był w poniedziałek przedświąteczny widownią niesłychanie skandalicznych zajść, które brutalnością przeszły najjaskrawsze nawet a-



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim: Prezydent ministrów hr. Khuen-Hedervary.

wantury w innych parlamentach, nawet w austryackim, gdzie oddawna przestano się liczyć ze słowami i gdzie niejednokrotnie już przychodziło do bójek.

W krytycznym dniu odczytano na posiedzeniu



Szkoła gospodarczo-kucharska w Kołomyi: Grono uczenic szkoły z nauczycielami i opiekunami.



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Aleksander Gaal, prezydent izby posłów.

sejmu reskrypt monarchy, zamykający obecny sejm. Wówczas zabrał głos poseł hr. Bathyany, członek partyi Justha i nazwał rozwiązanie sejmu podczas stanu *ex lex*, zanim budżet został uchwalony, naruszeniem ustaw. Zaznaczył przytem mowca, że odpowiedzialność za to spada na obecny rząd, który doradził królowi krok tego rodzaju.

Podobne stanowisko zajął poseł Franciszek Kossuth i Stefan Rakovszky, przedstawiciel partyi ludowej. Następnie zabrał głos prezydent ministrów hr. Khuen Hedervary i oświadczył, że zamknięcie sejmu w tym wypadku nie jest naruszeniem konstytucyi, ustawa bowiem nie pozwala na zamknięcie sejmu w takim tylko razie, jeśli budżet na rok następny nie jest uchwalony. Tu zaś chodzi o budżet roku bieżącego.

Ta interpretacya ustawy wywołała w całej izbie ogólne oburzenie, które objawiło się w takim hałasie i tak dosadnych wykrzyknikach, iż prezydent izby, poseł Gaal, musiał posiedzenie na chwilę odroczyć.

Po podjęciu dalszych obrad, chciał prezydent ministrow przemawiać w dalszym ciągu, znowu jednak wszczęli posłowie straszliwy hałas i obsypali hr. Khuen-Hedervaryego takiemi obelgami, iż prezydent znowu przerwał posiedzenie. Mimo to nietylko nie zapanował spokój, lecz przeciwnie wrzawa się wzmagała. Pierwszy sygnał do gorszących zajść dał poseł i były minister Polonyi, a za nim poszli inni posłowie, obrzucając ministrów i premiera najgorszego rodzaju obelgami. Po chwili zaczęto rzucać księgami, protokołami, liniami, przyciskaczami, wogóle wszystkiem, co było pod ręką.



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Poseł Geza Polonyi.

Zaraz w pierwszej chwili tych zajść uderzony został hr. Serenyi, minister rolnictwa, grubą, oprawną książką, a końce oprawy skaleczyły ministra w czoło i twarz. Oblany krwią padł hr. Serenyi w objęcia stojących obok niego posłów. I to nie ostudziło zapału walki, posłowie rzucali dalej rozmaitymi przedmiotami ku ławie ministrów. Gdy zabrakło ksiąg, porwano za kałamarze i wnet wielu posłów oblano atramentem. Jeden z kałamarzy ugodził prezydenta ministrów w głowę i zadał mu dwie rany. Także dwaj posłowie odnieśli poważne uszkodzenia. Oczywista rzecz, że skandaliczna bójka toczyła się przy akompaniamencie bardzo niewybrednych wykrzykników.

Zajścia w sejmie węgierskim wywołały ogólne oburzenie, a prasa wszelkich odcieni, nietylko węgierska, nie szczędzi słów potępienia posłom, którzy w tak drastyczny sposób podeptali godność własną i godność parlamentu.

Utrzymuje się pogłoska, że napad na ministrów został z góry uplanowany i że pierwsze hasło do rozpoczęcia gorszących zajść dał poseł Geza Polonyi. Przeciw wojowniczym posłom wszczęto postępowania karne. Są nimi pp.: Beck, Eitner, Hencz, Hoffman, ks. Markos i Zacharias.

Szkoła gospodarczo-kucharska w Kołomyi.

Od dawna już tułała się wśród polskiej inteligencyi, zamieszkującej Pokucie, myśl założenia szkoły



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Bela hr. Serenyi, minister rolnictwa.

gospodarstwa domowego dla dziewcząt z tamtych stron, gdyż brak takiej szkoły dawał się dotkliwie we znaki. Niestety przez długi czas usiłowania w tym kierunku podejmowane, pozostawały bez skutku z najrozmaitszych powodów.

Dopiero w jesieni ubiegłego roku pozyskało grono pań kołomyjskich współpracownictwo p. Demelówney, nauczycielki z Oleska, która w swoim czasie zapoznała się z organizacyą tego rodzaju szkół za granicą, jako stypendystka Wydziału krajowego. Zaproszona przez panie z Kołomyi, przybyła tam i zajęła się zorganizowaniem szkoły gospodarczo kucharskiej, z ramienia oddziału pokuckiego towarzystwa gospodarskiego.

Szkoła została otwarta uroczyście, przy udziale wszystkich prawie miejscowych osobistości, wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę z ważności i doniosłości szkoły gospodarskiej.

Nadzieje, jakie ogół społeczeństwa polskiego, w tamtych zamieszkałego stronach, przywiązywał do działalności szkoły gospodarstwa domowego, nie zawiodły. Uczenic zgłosiło się sporo i pod kierunkiem światłych nauczycielek uczą się nie tylko gospodarstwa, szycia i innych wiadomości z dziedziny gospodarstwa, ale rozszerzają horyzont ogólnej wiedzy.



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Poseł Janosz Zacharyas.

Zdjęcie nasze przedstawia grono uczenic szkoły gospodarskiej w Kołomyi wraz z nauczycielkami i opiekunami szkoły.

„Oresteja" na scenie krakowskiej.

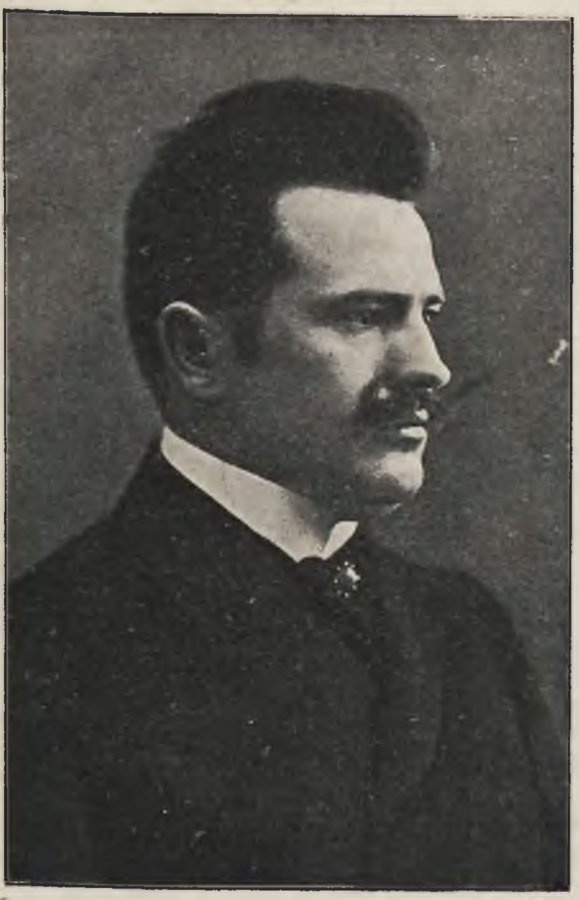
Zadanie niezmiernie trudne, ale piękne i wdzięczne podjął teatr krakowski, wystawiając arcydzieło greckiej poezyi dramatycznej, Aischylosa „Dzieje Orestesa". Przygotowany do trudnego zadania wystawieniem „Antygony", Sofoklesa, „Chmur" i ostatnio „Gromiwoji" Arystofanesa, kultywujący wogóle starannie tzw. „wielki repertuar", dał teatr krakowski tragedyę Aischylosa w ramach scenicznych przepięknych, w wykonaniu wprost znakomitem, zasłużył też z tego tytułu na wyrazy nietylko najżywszego uznania, ale i szczerej podzięki.

Aischylosa „Dzieje Orestesa" pozostaną po wiek wieków niezrównanym, niedoścignionym wzorem tragedyi. Dzieło to istotnie potężne, wstrząsające



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Poseł ks. Gyula Markos.

grozą treści, porywające prostotą budowy i klasycznością formy. Na język polski przetłomaczył je niedawno znakomity poeta nasz Jan Kasprowicz;



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Poseł Karoly Hencz.

przekład Kasprowicza uwydatnił wszystkie piękności oryginału, jędrnością wyrażeń i ich siłą, szlachetnością formy i języka, dorównywując pierwowzorowi.

Treścią tragedyi Aischylosa, złożonej z trzech właściwie, lecz łączących się i uzupełniających wzajemnie części, jest jedno z najstarszych podań z prahistoryi greckiej, epizod z dziejów rodu Pelopidów. Dwaj potomkowie tego rodu, Atreus i Tyestes, prowadzili walkę o tron. Chcąc zgnębić brata, Atreus zaprosił Tyestesa do swego domu, a zabiwszy jego dzieci i ciała ich uwarzywszy, podał je jako potrawy w czasie uczty. Ocalał z dzieci Tyestesa tylko syn Aigistos, ten też poprzysiągł krwawą zemstę domowi stryja. Następcą Atreusa na tronie został jego syn Agamemnon, późniejszy wódz naczelny wyprawy trojańskiej. W czasie kiedy Agamemnon bawił pod Troją, Aigistos przybył do jego domu i uwiódł Klytajmnestrę, żonę Agamemnona. Następnie przy pomocy Klytajmnestry, zamordował powracającego z wyprawy Agamemnona oraz brankę trojańską, Kassandrę. Aigistos pomścił się krwawo, usunął znienawidzonego potomka Atreusa, a sam opanował jego tron i mienie.

Zbrodnia ta nie miała jednak ujść bezkarnie ani jemu, ani wiarołomnej Klytajmnestrze. Pozostał bowiem syn Agamemnona, Orestes, który dorósłszy na obczyźnie, wraca jako młodzieniec w strony ojczyste, by pomścić śmierć ojca. Przy pomocy swej siostry Elektry, plan swój przeprowadza i morduje Aigista, a następnie matkę swą Klytajmnestrę.

Treścią części trzeciej, jest walka Orestesa z wyrzutami sumienia, przedstawionymi w dramacie jako Erynje, czyli Eumenidy. Dzięki pomocy Apollina, który kazał mu pomścić śmierć ojca, i dzięki pomocy Ateny, zyskuje Orestes przebaczenie, a z niem spokój ducha.

Teatr krakowski uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, by arcydziełu greckiej tragedyi zapewnić jak największe powodzenie. Dekoracye prawdziwie artystyczne, pędzla p. Spitziara, wystawa ogromnie staranna, a przedewszystkiem świetna gra artystów, w sztuce występujących, wsparły skutecznie piękne usiłowania dyrekcyi.

Na czoło zespołu wysunęła się — nie pierwszy zresztą raz — p. Wysocka, stwarzając w roli Klytaimnestry postać niepospolitą, wstrząsającą znakomicie oddanym tragizmem. Niezrównana gra p. Wysockiej uwydatniła świetnie wszystkie charakterystyczne cechy potwornej kobiety, tego demona zbrodni, jaką w tragedyi Aischylosa jest Klytajmnestra. Rolą tą złożyła znakomita artystka nowy dowód wielkiego i wciąż potężniejącego talentu.



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim:
Poseł Otto Hoffmann.

Godnym jej partnerem okazał się p. Józef Węgrzyn, wykonawca roli Orestesa. Młody artysta o-



Aparatem redakcyjnym W. Lis

„Oresteja“ na scenie krakowskiej: Scena końcowa sztuki. U stup pomnika Ateny (p. Sulima). Orestes (Józef Węgrzyn X).

pracował trudną rolę nadzwyczaj sumiennie, a mając doskonałe warunki zewnętrzne, przedewszystkiem zaś ogromnie miły, dźwięczny, głęboki głos, dał postać piękną, jednolitą, pełną liryzmu i rzewności obok dramatycznej siły.

Mniejsze role w interpretacyi pp. Solskiej (Elektra), Arkawinównej (Kassandra), Sosnowskiego (Agamemnon), Leszczyńskiego (Apollo), wypadły także doskonale, również sceny ansamblowe, wyreżyserowane starannie, robiły wspaniałe wrażenie.

Osobna wzmianka należy się chórom starców i ofiarnic, czynnikom, które w dramacie greckim tak ważną odgrywają rolę. W przedstawieniu „Orestei“ na scenie krakowskiej stanął pod względem aktorskim wyżej chór starców, brał bowiem żywy udział w akcyi. Chór ofiarnic był bardziej bierny, ale śpiewne ustępy, które wypadły zupełnie zadowalająco, ożywiły bardzo sympatycznie całość przedstawienia.



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim: Poseł Zygmunt Eitner.

Groby Boże.

Tak, jak co do wszystkich świąt kościelnych, tak i co do ceremonii, z temi świętami związanych, panowały początkowo w Kościele katolickim znaczne różnice. Dopiero na soborze nicejskim w r. 324 ustalono czas obchodzenia świąt Wielkiej Nocy i postanowiono, aby wszystkie kościoły obchodziły to święto w niedzielę po wiosennej pełni księżyca, t. j. po pierwszej pełni, przypadającej po 20 marca. Tak więc wedle tego liczenia, święta Wielkiej Nocy mogą najwcześniej przypadać 22 marca, najpóźniej zaś 25 kwietnia. W dawnym Kościele święta Wielkanocne trwały cały tydzień, sobór konstancyeński z r. 1094 ograniczył je do 3 dni, a papież Pius VI. w r. 1775 do 2 dni.

Co do ceremonii, związanych z temi świętami, obchodzonymi na pamiątkę zmartwychwstania Pańskiego, to z biegiem czasu zmieniały się one mimo istniejących, ściśle liturgicznie przepisanych obrzędów.

Pierwsze gminy chrześcijańskie, rekrutujące się z nawróconych żydów, święciły pamiątkę ukrzyżowania i zmartwychwstania Chrystusa w Jerozolimie, urządzając pielgrzymki do grobu świętego, wybudowanego przez Józefa w Arymatei, poza murami ówczesnej Jerozolimy. Z biegiem czasu rozrzucone po całym świecie gminy chrześcijańskie musiały zaniechać tych pielgrzymek wielkanocnych do grobu świętego, a wówczas wyłoniła się potrzeba obchodzenia uroczystości Zmartwychwstania w kościołach i kaplicach, gdzie prymitywnymi środkami, a następnie z coraz to większą wystawnością, urządzano groby Boże, przypominające grób św. w Jerozolimie. Jak wielkim wśród chrześcijan ówczesnych, a następnie i w średnich wiekach, był kult grobu św., dowodzą liczne wyprawy rycerstwa chrześcijańskiego do Palestyny, których gwiazdą przewodnią było zdobycie Jerozolimy i wyrwanie grobu św. z rąk niewiernych.

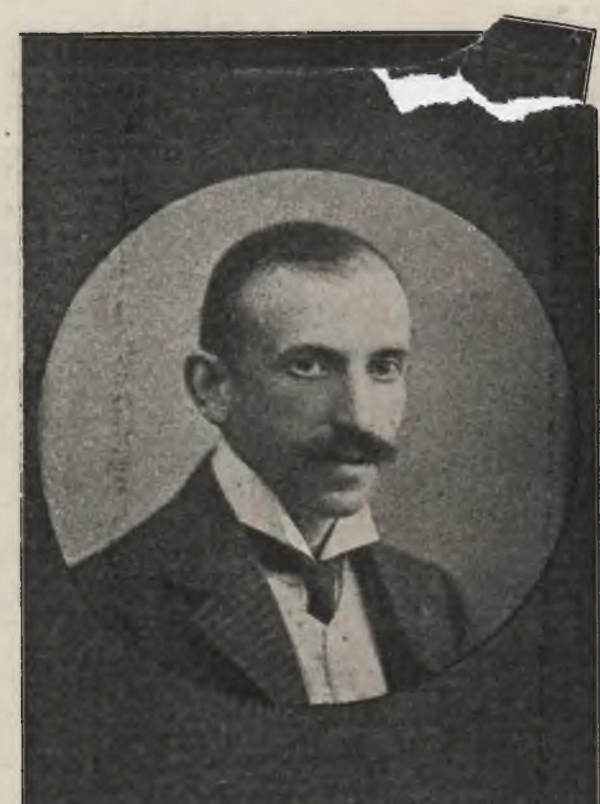
W Polsce nie od dziś uroczystości kościelne połączone są z tradycyjnymi obrzędami, mającymi sobie właściwy i niezwykły urok. Groby Boże w naszych kościołach należą do uroczystości, obchodzonych nadzwyczaj wspaniale, a pod względem artystycznej szaty zewnętrznej, przewyższają może niejednokrotnie najwspanialszą pompę, spotykaną za granicą.

Z pośród grobów Bożych w kościołach krakowskich, z których żaden tradycyjnie nie szczędził kosztów na urządzenie św. grobów, wyróżniał się dodatnio kościół XX. Pijarów. Przepiękny grób Chrystusa, urządzony przy pomocy nadzwyczaj gustownie dobranych draperyi i efektów świetlnych, zwracał na się tembardziej uwagę, że przedziwnie harmonizował z całością tej świątyni.

Reprodukcya tego pięknego grobu, którą w numerze pomieszczamy, pozwoli Czytelnikom naszym przekonać się, że nie przesadzamy wcale, nazywając ten grób jednym z najpiękniejszych w Krakowie.



Groby Boże: Grób Boży w kościele XX Pijarów w Krakowie. Przed balustradą brat Gliceryusz.



Poranienie ministrów w Sejmie węgierskim: Poseł Ludwik Beck.

Na draperyach różbarwnych, któremi obwieszono nawę główną przed wielkim ołtarzem, zawieszono bogato ubrane girlandy gałązek i kwiatów. Lampki elektryczne, ukryte w girlandach świerkowych, lub poza draperyami, nadawały wnętrzu kościelnemu dziwnego uroku.

Zasługa urządzenia tego grobu Bożego przypada bratu Gliceryuszowi z zakonu XX. Pijarów, który sam obmyślił kompozycyę i wykonał wszystkie szczegóły.

Tłumy pobożnych zwiedzały groby Chrystusa w kościołach krakowskich, jednak grób święty w kościele XX. Pijarów był najliczniej odwiedzany.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

12

— Dobrze! Następny pociąg wychodzi o kwadrans na pierwszą. Gdy tylko pan się znajdzie w R., winien pan w ten czy w inny sposób dostać się do domu wdowy Belden, nie wzbudzając w niej jednak podejrzeń. Agent mój będzie szedł ciągle za panem, będzie on jednak przebrany i podejdzie do pana tylko wtedy, gdy pan uczyni odpowiedni znak. Będzie pan działał sam, jak również i on, dopóki okoliczności nie każą się panom połączyć. Nie mogę nawet powiedzieć, czy pan go wogóle zobaczy, proszę być jednak przekonanym, że będzie uważał ciągle na znak, jaki pan mu da czerwoną, fularową chustką — ma pan taką?

— Kupię sobie.

— Gdy pan wyjmie z kieszeni tę chustkę, będzie to dla niego dowodem, iż pan potrzebuje jego pomocy i zaraz do pana pospieszy.

— To wszystko, co pan chciał mi powiedzieć? — zapytałem, gdy skończył.

— Tak, zdaje się, że to wszystko. Musi pan zastosować się do okoliczności — pańska pomysłowość i roztropność wskaże panu, co należy czynić. Jeżeli to możliwe, niech pan zjawi się jutro u mnie o tej porze, lub przyśle o sobie wiadomość.

Przy słowach tych dał mi klucz szyfrowy, bym w razie potrzeby mógł zatelegrafować do niego.

XIX.

Ema Belden.

W posępny kwietniowy dzień wyszedłem z dworca w R. i skierowałem się wprost do hotelu. Miasteczko zaczęło już przygotowywać się na przyjęcie sezonowych gości, wszędzie widać było ożywiony ruch, mnie jednak mało to wszystko interesowało. Z hotelu udałem się do naszego klienta Monello, by dowiedzieć się od niego, w jaki sposób najłatwiej poznać się z panią Belden. Szczęście mi posłużyło, gdyż spotkałem go na drodze, jadącego powozem; przysiadłem się do niego i zaraz zawiązała się między nami serdeczna rozmowa.

— Jakże pańskie zdrowie? — spytał mnie.

— Jak pan widzi, bardzo dobre — odpowiedziałem, nie chcąc jednak wtajemniczać go więcej, niż potrzeba było, w swe sprawy—zacząłem opowiadać mu o procesie, który prowadziliśmy na jego żądanie z pewnym handlowym domem, a opowiadanie to zajęło tyle czasu, iż zdążyliśmy dwa razy objechać całe miasto.

Przed powrotem do domu przypomniał sobie, że ma jeszcze wysłać list; zajechaliśmy więc przed pocztę, on wszedł do środka, ja zaś pozostałem na ulicy, patrząc na przechodzących obok ludzi.

Między innymi zwróciła mą uwagę pewna kobieta w średnim wieku, w której powierzchowności jednak nie było nic rzucającego się w oczy; zdziwiło mnie tylko to, że gdy wyszła z poczty z dwoma listami w ręku — z jednym większym, a drugim mniejszym — schowała je zaraz pod szal, gdy tylko zauważyła, że na nią patrzę. Co mogło być szczególnego w tych listach i dlaczego skryła je zaraz przed wzrokiem obcego sobie człowieka? W chwili tej podszedł do mnie Monello i odciągnął mą uwagę od tej kobiety. Potem zapomniałem o niej i o jej listach.

Gdy tylko ruszyliśmy dalej, przystąpiłem zaraz do rzeczy i spytałem:

— Nie zna pan przypadkiem pewnej damy, nazwiskiem Ema Belden?

— Mieszka tu wdowa Belden, innych jednak osób tego nazwiska nie znam.

— Na imię jej Ema?

— Tak, Ema Belden.

— Może mi pan powie w takim razie, kto ona jest, co to za osoba, wogóle wszystko, co pan wie o niej.

— Jest to bardzo zacna wdowa i mieszka na końcu tej ulicy. Jeżeli pan chce znaleść schronienie dla jakiego biedaka, lub umieścić w ochronce jakie sieroty, niech pan zwróci się do niej. Co zaś do mej znajomości z nią, to nie wiem o niej więcej, niż o innych mieszkańcach. Gdy się spotykamy, zamieniamy z sobą kilka słów i to wszystko.

— Zacna wdowa — pan mówi? Czy ma rodzinę?

— Nie, mieszka zupełnie sama i otrzymuje, zdaje się, niewielką emeryturę. Trudni się oprócz tego szyciem. Dlaczego jednak wypytuje mnie pan o nią?

— Czynię to z powodu pewnej sprawy — odparłem. — Wmieszana jest do procesu, który prowadzę i muszę zebrać o niej jak najwięcej szczegółów. To, co pan mi powiedział, jeszcze mnie nie zadowala; chciałbym poznać ją osobiście, bez budzenia w niej jakichkolwiek podejrzeń. Czy nie mógłby mi pan w tem pomóc? Byłbym bardzo zobowiązany panu za to.

— Zdaje mi się, że można to łatwo urządzić. Zwykle latem, gdy w hotelu jest pełno gości, odnajmuje ona swe pokoje. Bardzo możliwe, że zgodzi się odnająć panu na jakiś czas jeden pokój. Przedstawię pana jako swego przyjaciela, który chce mieszkać w pobliżu poczty, gdyż każdej chwili oczekuje odpowiedzi na depeszę.

Monello uśmiechnął się chytrze, nie przypuszczając nawet, że trafił prosto do celu.

— Tego nie potrzeba — odrzekłem — niech pan powie tylko, że nie znoszę hoteli i że pan polecił mi ją, jako kobietę, u której można znaleść czasowo wygodne i spokojne pomieszczenie.

— Co jednak będą o mnie mówili w mieście, gdy się dowiedzą, że nie przyjąłem pana u siebie?

— Tego nie wiem, spodziewam się jednak, że pan poświęci się i odda mi tę usługę.

— Jeżeli nastaje pan tak na to, to postaram się urządzić to panu.

Mówiąc to, skierował się do małego, miłego domku, stojącego cokolwiek z boku.

— Oto jej dom — rzekł — wejdźmy i starajmy się zawładnąć nim odrazu.

Gdy spojrzałem na okna, wychodzące z wyjątkiem tylko dwóch na ulicę, pomyślałem sobie zaraz, że jeżeli ona rzeczywiście ukrywa tutaj kogokolwiek, to niema najmniejszej wątpliwości, że przyjmie i mnie do siebie.

— Ponieważ nie ma ona żadnej służby, zapewne sama nam drzwi otworzy — rzekł mój towarzysz.

Nie zdążyłem mu nawet odpowiedzieć, gdyż uwagę mą zwróciło to, iż w chwili tej w jednem z okien zapuszczono storę; potem zaraz otworzyły się drzwi i ujrzałem przed sobą kobietę, która tak podejrzanie chowała swe listy. Poznałem ją odrazu, chociaż przebrała się już i była czemś jakby przestraszona i wzruszona.

Gdy Monello przedstawił mnie jako swego kolegę, prawnika z Nowego Jorku, przywitała mnie staromodnym ukłonem, nie mogła jednak ukryć swego niepokoju.

— Przyszliśmy prosić panią o pewną usługę... Pozwoli nam pani jednak wejść — zaczął mój znajomy. Nieraz już słyszałem, jak u pani miło i przyjemnie; niech pani da nam możność przekonania się o tem osobiście.

I zanim gospodyni domu zdołała odpowiedzieć, wszedł najspokojniej do niewielkiego pokoju, wyklejonego jasnemi tapetami, i zasłanego czerwonym dywanem. Gdy pani Belden zobaczyła, że nieprzyjaciel wtargnął już do twierdzy, opanowała się i poprosiła, bym i ja wszedł do środka, co też zaraz uczyniłem. Monello tymczasem starał się okazać jak najmilszym; nawet i ja śmiałem się z jego dowcipów, chociaż jednocześnie lękałem się, czy uda mi się ulokować w tym domu. Po chwili ożywiła się gospodyni i tak spokojnie podtrzymywała rozmowę, iż dziwiłem się tylko, patrząc na nią. Sądząc z rozmowy, była to dość wykształcona i bardzo miła kobieta; o tyle mi się podobała, iż wydawałoby mi się zupełnie niemożliwem podejrzewać ją o cokolwiek, gdyby pod koniec rozmowy, kiedy Monello wyjawił cel naszej wizyty, na twarzy jej nie zamalował się nowy przestrach.

— Naprawdę nie wiem — rzekła, przyglądając mi się uważnie — bardzobym chciała usłużyć panu, w ostatnich jednak czasach nie przyjmowałam wcale lokatorów... Może więc panowie wybaczą mi....

— Z początku przyjęła nas pani tak mile w swym raju — odrzekł mój znajomy — a teraz nie chce pani przyjąć mego towarzysza nawet na jedną noc. Jestem przekonany, że pani tylko żartuje. Wiem przecież, że pani nie zdolna byłaby przed nikim zamknąć swych drzwi, a tem bardziej przed tak skromnym i dobrze wychowanym, młodym człowiekiem, jak mój przyjaciel.

— Pan jest bardzo dobry — odparła, ujęta tem pochlebstwem — lecz z pewnych powodów nie jestem w stanie spełnić pańskiej prośby. Odnawiano u mnie w domu i teraz wszystko mam poprzewracane do góry nogami. Naprzykład u pani Wryt naprzeciwko...

— Przyjaciel mój chce koniecznie zatrzymać się u pani — odpowiedział Monello. — Ja na żaden sposób nie mogę go dzisiaj przyjąć u siebie i wtedy tylko będę spokojny, jeżeli pani przyjmie go u siebie.

— Rzeczywiście, bardzo byłoby mi przykro, gdybym musiał szukać noclegu w innym domu — dodałem jakby mimochodem.

Znowu spojrzała niespokojnie na drzwi i rzekła z pewnem wahaniem:

— Nikt jeszcze nie nazwał mnie niegościnną, lecz wszystko tutaj jest w takim nieporządku. — Kiedy pan chciałby przenieść się do mnie? — zapytała.

— Sądziłem, że będę mógł zaraz zostać tutaj — rzekłem — mam do napisania kilka listów i chciałbym to zrobić.

Przy słowie „listy" wsunęła instynktownie rękę do kieszeni, odpowiedziała jednak zaraz:

— No, dobrze, niech pan w takim razie zostanie, o ile nie jest pan zbyt wymagający. Chciałabym bardzo oddać tę usługę panu Monello.

Podała mi przytem rękę i sprowadziła mego znajomego do powozu, poczem wróciła, niosąc mą podróżną torbę.

— Postaram się jak najprędzej urządzić dla pana pokój — rzekła mi, a teraz niech pan będzie, jak u siebie w domu: wszystko potrzebne do pisania znajduje się w tym stoliku.

Wskazała mi stół i tak była ze mną uprzejmą, iż zacząłem doznawać wyrzutów sumienia z powodu swej roli szpiega.

— Dziękuję pani — odrzekłem, wyjmując przybory do pisania.

— Nie będę panu przeszkadzała — rzekła i przy słowach tych wyszła po cichu z pokoju.

Przedewszystkiem rozejrzałem się uważnie po pokoju, w którym się znajdowałem. Był to miły, dobrze umeblowany pokoik, jakie często spotyka się w miejscach kąpielowych, w średnio zamożnych domach. Zacząłem oglądać szczegółowo wszystkie przedmioty znajdujące się tutaj: fotografie na kominku, książki na stole, nuty na etażerce i maleńki koszyczek do roboty. Wśród najrozmaitszych w nim rzeczy, zauważyłem także parę pończoch, które wydały mi się tak małe i tak znoszone, iż bardzo wątpliwem było, czy one należały do wdowy Belden. Po szczegółowem obejrzeniu znalazłem na nich znak D... Złożyłem je uważnie i położyłem na miejscu, poczem zacząłem spoglądać w zamyśleniu na okna przeciwnego domu. Uwagę moją zwróciły litery, wyrznięte brylantem na szybie. Przez dłuższy czas nie mogłem odczytać tego, co było napisane, przyjrzawszy się jednak uważniej, złożyłem z tych liter następujące słowa: Mary Klawering.

Ucieszony tem odkryciem, zabrałem się do pisania listów, nie skończyłem ich jednak jeszcze, gdy do pokoju weszła pani Belden, oznajmiając, że kolacya już gotowa.

— Co do pokoju — mówiła dalej — to przygotowałam dla pana swój własny; zdaje mi się, że przyjemniej panu będzie spać na pierwszem piętrze.

Jednocześnie otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju, który okazał się maleńką, lecz bardzo miłą sypialnią.

— Umeblowanie tego pokoju jest jak dla pana trochę za staromodne — mówiła, przechodząc do jadalnego pokoju — spodziewam się jednak, że jakoś się pan w nim urządzi.

Kolacya składała się z prostych, lecz bardzo smacznych potraw, przygotowanych przez panią Belden, która okazała się bardzo sympatyczną kobietą. Nie mogłem opanować uczucia wstydu, że jak szpieg wkradłem się do jej domu. Zakłopotanie moje wzrosło jeszcze bardziej, gdy zauważyłem, że jej coś dolega i że chciałaby o tem porozmawiać ze mną, lecz nie może zdecydować się na to. Znajdowaliśmy się w długim, wąskim pokoju, dotykającym z jednej strony bawialni, a z drugiej mej sypialni.

— Czy pani nie boi się mieszkać tak sama jedna w tym domu? — zapytałem jej, gdy była zajęta kładzeniem mi na talerz najsmaczniejszego kawałka zimnej kury. Tutaj zapewne jest dosyć włóczęgów, którzy mogą przestraszyć panią?

— Nikt mnie nie napada — odparła — a gdy kto potrzebuje pożywienia lub też dachu nad głową, znajdzie jedno i drugie w mym domu.

Jakie to dziwne, że ta dobra kobieta, opiekunka ubogich i sierot, była zamieszana w tak niejasną sprawę. Słowa jej poddały mi myśl, że jeżeli Dżen ukrywa się w tym domu, to gospodyni winna zanieść jej coś do jedzenia. Przyjrzałem się umyślnie stojącym przedemną potrawom, aby wiedzieć, ile ich potem ubędzie.

— Pójdę na werandę wypalić cygaro — rze-

kłem — a potem może pani będzie miała trochę czasu na pogawędzenie ze mną?

— Owszem, z wielką przyjemnością nawet — odrzekła — lecz nie potrzebuje pan wychodzić z cygarem na werandę, może pan palić i w pokoju, dym mi nie szkodzi.

— Wolę wyjść na werandę — odparłem — chcę odetchnąć trochę czystem powietrzem.

W gruncie rzeczy chciałem ujrzeć tylko „Czuły węch“; czułem, że jeżeli będę wiedział, że znajduje się on gdzieś w pobliżu, doda mi otuchy. Pragnienie jednak me nie spełniło się; daremnie spacerowałem po werandzie i chociaż uważnie rozglądałem się dokoła, nigdzie nie dojrzałem nawet śladu agenta. Po niejakim czasie zeszła z góry pani Belden z pustym talerzem w ręku i odniosła go do kuchni, a potem wróciła do mnie.

— O ile słyszałam, jest pan adwokatem? — zapytała, biorąc się do robienia pończochy.

— Tak — odpowiedziałem — jest to mój zawód.

Milczała chwilę, potem odezwała się dalej, jąkając się nieco:

— Może pan będzie dak dobry i da mi radę. Chodzi o to, iż znajduję się w dziwnem położeniu, z którego sama nie mogę wydostać się, a mimo to muszę prędko zdecydować się na coś. Niech pan z łaski swej wysłucha mnie i poradzi, jak mam postąpić w tym wypadku.

— Proszę, bardzo chętnie będę pani służył radą.

Westchnęła głęboko i zaczęła opowiadać:

— Sprawa tak się przedstawia: dano mi do przechowania pakiet z papierami; dały mi go dwie damy z tym warunkiem, iż nie mogę ich zwrócić ani zniszczyć bez zgody obu tych dam. Winnam była chować te dokumenty i pod żadnym pozorem nie rozłączać się z nimi.

— Proszę, co dalej — zapytałem, gdy przerwała.

— Naraz otrzymuję list od jednej z tych pań, w którym pisze mi, żebym natychmiast zwróciła jej te papiery, że od tego zależy spokój jej, a nawet zbawienie. Muszę tu dodać, że dokumenty te dotyczą głównie jej.

— I pani pyta mnie teraz, jak winna postąpić?

— Tak — odpowiedziała niepewnie.

— Winna pani chować je u siebie tak długo, dopóki obie damy nie zwolnią pani od danego słowa.

— To jest pańskie zdanie jako prawnika?

— Tak, a zarazem jako i zwykłego człowieka. Niema tu żadnego wyboru. Nie ma pani prawa spełniać życzenia jednej strony bez pozwolenia drugiej. Nawet możliwość jakiegokolwiek wypadku, jeżeli pani zachowa u siebie nadal papiery, nie zwalnia pani od słowa. Ponadto pani nie wie, czy strona zainteresowana działa tu słusznie; może się zdarzyć, że przez wydanie tych papierów, druga strona będzie narażona na wiele nieprzyjemności, a może ją nawet spotkać i nieszczęście.

— Okoliczności jednak zmieniają nieraz całą rzecz. I zdaje mi się, że w tym wypadku winnam spełnić prośbę zainteresowanej osoby, gdyż między obiema temi damami, o których wspominałam, wynikły nieporozumienia i druga strona może nigdy nie zgodzi się na wydanie tych papierów.

— Według mnie winna pani nawet mimo to zachować u siebie te dokumenty — rzekłem.

Opuściła smutnie głowę, widocznem było, że chciała bardzo pomódz swej znajomej damie.

— Prawa są tak okrutne, tak okrutne — mówiła wzdychając.

— Chodzi tu nie o prawa — rzekłem — ale o przyjęte na siebie zobowiązanie. Niech pani zwróci uwagę na to, że może szczęście i cześć drugiej osoby zależy od tego, czy pani zachowa u siebie te papiery. Coby pani zrobiła, gdyby tak było rzeczywiście?

— Lecz...

— Przyrzeczenie pozostanie przyrzeczeniem i nic tu nie można zmienić. Przyjęła pani na siebie obowiązek i winna go pani spełnić za wszelką cenę.

— Zdaje mi się, że ma pan słuszność — odrzekła i zamyśliła się.

Patrzyłem na nią i rozważałem: gdybym był Grysem albo innym ajentem, nie uspokoiłbym się dopóty, dopóki nie dowiedziałbym się, kto są te damy i jakie papiery wręczyły jej do schowania, ponieważ jednak nie wydało mi się to szczególnie ważnem, podtrzymywałem więc rozmowę na ten temat tylko o tyle, by módz otrzymać od niej jeszcze jakie szczegóły o zajmującej mnie sprawie. Zamierzałem zadać jej jeszcze jedno pytanie, gdy naraz zwróciłem uwagę na biedaczkę, wychodzącą z podwórza, stojącego naprzeciw domu; wiatr targał niemiłosiernie porwaną jej spódnicą, a zniszczone obuwie ledwo trzymało się na nogach. Zuła skórkę chleba, lecz potem rzuciła ją i skierowała się do naszego domu.

— Oto idzie jedna z klientek pani — odezwałem się — zapewne nie odmówi jej pani jałmużny?

Pani Belden jakgdyby ocknęła się z ciężkiego snu, wstała powoli, obejrzała się dokoła i spojrzała na żebraczkę.



Ujrzałem na pościeli młodą dziewczynę.

— Biedne stworzenie! Godna ona litości, lecz dzisiaj wieczorem nie wiele mogę zrobić dla niej. Tyle tylko będzie miała korzyści, iż otrzyma dobrą kolacyę.

Zaprowadziła do kuchni żebraczkę, która dziękowała jej słowami: „Niech Pan Bóg błogosławi pani“ — widocznie zatem pani Belden dała jej coś zjeść. Sprawa jednak nie skończyła się na tem, bo w kilka chwil potem, gdy żebraczka prosiła się, zaczęła błagać panią Belden, by pozwoliła jej przenocować, choćby na strychu. Mówiła to takim tonem, iż gospodyni moja uległa wreszcie i pozwoliła jej przespać się w kuchni koło komina.

Zjawienie się żebraczki przerwało naszą rozmowę. Pani Belden poszła na górę, a ja zostałem sam. Podczas gdy w rozmyślaniach swych dochodziłem do wniosku, iż pani Belden raczej usłuchała głosu swych uczuć, niż moich rad, spostrzegłem naraz, iż wychodzi ona ukradkiem z domu; ponieważ przeczucie nakazywało mi mieć się względem niej na ostrożności, wziąłem pospiesznie kapelusz i wyszedłem za nią.

Z początku szła po głównej ulicy i sądziłem, że chce odwiedzić kogoś ze znajomych, przypuszczenia jednak moje okazały się mylnemi, gdyż zwolniła kroku, jak gdyby miała jeszcze długą drogę do przebycia i minąwszy ostatni dom, wyszła w otwarte pole. Dokąd mogła iść? Szedłem za nią, nie spuszczając oczu z jej ciemnej figury, okrytej chustką. Stąpałem umyślnie po trawie, by przypadkiem nie usłyszała moich kroków i nie odwróciła się. Wreszcie przeszła przez most; kroki jej ucichły, musiała widocznie przystanąć. Ponieważ nie chciałem wzbudzać w niej podejrzeń, postanowiłem przejść koło niej w mroku i dopiero po upływie pewnego czasu, wróciłem się i zbliżyłem do mostu; pani Belden już znikła. Teraz byłem już prawie przekonany, że domyśliła się, w jakich celach zjawiłem się u niej w domu i dlatego umyślnie wyprowadziła mnie jak najdalej z mieszkania, by dać Dżen możność ucieczki. Zamierzałem już wrócić z powrotem, gdy naraz doleciał mnie z oddali jakiś dziwny dźwięk, jak gdyby otwierano drzwi na starych, zardzewiałych zawiasach.

Zwróciłem się omackiem w kierunku, skąd dobiegł mnie ten głos i wkrótce ujrzałem przed sobą małą lepiankę, stojącą samotnie na brzegu rzeczki.

Nie wiedziałem, czy iść dalej, gdy nagle usłyszałem koło siebie czyjś ciężki oddech, a potem odgłos kroków, jak gdyby ktoś szedł po stosie desek. Zaraz potem ukazało się w lepiance jakieś światło; zajrzałem do środka i ujrzałem, jak pani Belden stoi z zapaloną zapałką w ręku. Rozglądała się uważnie dokoła, spoglądając to na dziurawy nad sobą dach, to na podłogę, będącą nie w lepszym stanie. Wyjęła potem z pod chustki niewielkie, żelazne pudełko i postawiła je na podłodze. Teraz dopiero zrozumiałem cel jej nocnej wycieczki i chciałem już podejść ku niej, gdy zapałka nagle zgasła. Podczas gdy zapalała drugą, przyszło mi na myśl, że daleko roztropniej będzie poczekać, gdy odejdzie i zabrać potem to pudełko. Schowałem się więc za róg i zacząłem czekać, kiedy wyjdzie.

Minuta upływała za minutą, a pani Belden nie pokazywała się, wreszcie drzwi skrzypnęły i gospodyni moja skierowała się z powrotem do mostu. Gdy się cokolwiek oddaliła, wszedłem zaraz do lepianki. Było tu zupełnie ciemno, jako jednak palący, miałem przy sobie zapałki. Zapaliłem jedną, lecz nie zdążyłem jeszcze rozejrzeć się, gdy już zgasła; druga nie świeciła się dłużej. Teraz dopiero zrozumiałem trudność całego zadania. Pani Belden musiała wybrać tutaj jakiś kąt i w nim tak schowała swój skarb, iż odszukać go teraz nie będzie tak łatwo. Nie pozostawało mi nic innego, jak palić jedną zapałkę za drugą. Wszyskie me starania okazywały się daremnemi i nic nie mogłem znaleźć. Została mi się wreszcie jedna tylko zapałka; ponieważ zauważyłem już poprzednio, że jedna z desek jest cokolwiek odsunięta, postanowiłem zbadać ją dokładnie w ciemności, by nie tracić ostatniej zapałki. Przy oględzinach przekonałem się, że ugina się pod naciśnięciem ręki; znajdowało się pod nią dość duże wgłębienie. Zapaliłem zapałkę, by przyjrzeć się lepiej, lecz zgasił ją także podmuch wiatru i znowu zostałem w ciemnościach. Nie przeszkodziło mi to jednak podnieść deski, w rezultacie czego w rękach mych znalazło się pudełko, którego tak długo szukałem.

Ucieszony tem, wyszedłem szybko z lepianki z jedną tylko myślą, by dostać się do domu prędzej od pani Belden. Lecz czyż było to możliwem? Ona mnie już prawdopodobnie znacznie wyprzedziła, a oprócz tego musiałbym ją wymijać w drodze, zostałbym zatem poznany. Nie miałem jednak wyboru i musiałem odważyć się.

Przeszedłem już dość znaczną przestrzeń, gdy niespodzianie na zakręcie drogi, omal że nie natknąłem się na swą gospodynię. Stała i patrzała w stronę lepianki, nie zwracając uwagi na mnie, jak gdyby mnie wcale nie zauważyła. Zdziwiony tem, obróciłem się również, by zobaczyć, co ją tak zajmuje i stanąłem jak skamieniały: lepianka paliła się!

(Ciąg dalszy nastąpi).



„Manewry jesienne" w Warszawie: Władysław Szczawiński i Wiktorya Kawecka w rolach głównych.



Zakład wojskowo-naukowy w Krakowie: Wychowankowie zakładu z majorem Kornbergerem (1) i prof. Pieniążkiem (2) w pośrodku.

Ochronka założona przez dzieci.

Redakcya *Mojego pisemka*, tygodnika dla dzieci, wychodzącego w Warszawie, ogłosiła w swoim czasie odezwę do swych maluczkich czytelników o składki na założenie ochronki dla biednej, bezdomnej dziatwy. Odezwa ta wywołała bardzo rychło skutek, posypały się datki większe i mniejsze od dziatwy nietylko zamożnej, ale i ubogiej, tak że na wiosnę tego roku można było przystąpić do otwarcia nowej ochronki. Uroczystość ta odbyła się niedawno przy udziale mnóstwa dzieci i ich rodziców oraz opiekunów, jakteż zarządu ochronki, z redaktorką *Mojego pisemka* a inicyatorką utworzenia ochrony, p. Maryą Bujno Arctową na czele.

Ochronka, założona ze składek dzieci, mieści się w domu l. 93 przy ul. Czerniakowskiej i zajmuje lokal złożony z trzech pokojów. Uczęszcza do niej na razie koło trzydzieścioro dzieci, najbardziej potrzebujących opieki i pomocy. Czas schodzi im na zabawach grach wspólnych, aż do godziny tej popołudniu. Wpływ ochonki jest bardzo dodatni i już po kilku dniach pobytu tam dziatwa lepiej wygląda, jest weselsza, przestrzega czystości i porządku.

Stworzeniem tego zakładu dokonała redakcya *Mojego pisemka* dzieła wielkiej doniosłości społecznej, zasłużyła też z tego powodu na wyrazy szczerego uznania i zachęty do dalszej w tym kierunku pracy.

Król serbski w Warszawie.

(Do illustracyi na stronie 4).

Serbia stara się gorliwie o opiekę i protekcyę Rosyi. Wyrazem usiłowań króla Serbii, Piotra, w celu pozyskania dworu petersburskiego była jego podróż w ubiegłym tygodniu w odwiedziny do cesarza Mikołaja II.

Król Piotr przejechał przez Budapeszt, Bogumin i Trzebinię do Warszawy, gdzie stanął w poniedziałek popołudniu. Królowi towarzyszyli w tej podróży: prezydent ministrów Pasicz oraz minister spraw zewnętrznych Milowanowicz, nadto kilku najwyższych urzędników ministeryalnych, w Warszawie zaś powitali go, przybywszy w tym celu z Petersburga, generał-adjutant Maksymowicz, fligel adjutant Swieczyn, poseł serbski przy dworze petersburskim i przedstawiciele konsulatu, nadto miejscowi dygnitarze, z generał-gubernatorem Skałłonem i oberpolicmajstrem Meyerem na czele.

Król serbski, przyjechawszy z dworca wiedeńskiego koleją obwodową na dworzec praski kolei nadwiślańskich, przesiadł się do umyślnie przygotowanego pociągu cesarskiego szerokotorowego i wyruszył wprost do Petersburga.

Fragment „Chanteclera" na scenie polskiej.

Głośna sztuka Rostanda „Chantecler", wystawiona w Paryżu z takim nakładem kosztów, nęci bezsprzecznie wszystkie sceny europejskie, które radeby wystawić tę najnowszą i najoryginalniejszą sensacyę w świecie artystycznym. Niestety koszta choćby skromnej wystawy przechodzą możność finansową niejednego większego nawet teatru i głośne dzieło Rostanda na wielu scenach nie będzie mogło ujrzeć światła kinkietów.

Warszawa zdobyła się na miniaturę „Chanteclera". W sali Filharmonii warszawskiej odbył się w dniu 16 marca wieczór Towarzystwa literatów i dziennikarzy, na którym w trzeciej części programu ukazała się na estradzie sensacya w postaci bażantki i koguta chanteclerowskiego. Odegraną została przez p. Ordon-Sosnowską i p. Tarasiewicza głośna scena liryczna dyalogu bażantki z kogutem. Oko nęciły bajeczne kostyumy świetnością kolorów, a oprócz tego odegrana scena znalazła w pani Ordon-Sosnowskiej i p. Tarasiewiczu interpretatorów, których nie powstydziłaby się nawet pierwszorzędna scena za granicą.

W dniu 7 kwietnia wspaniała scena z „Chanteclera" zostanie powtórzoną w Krakowie na wieczorze, urządzonym w Starym Teatrze na dochód Towarzystwa doraźnej pomocy artystów. Niewątpliwie cały Kraków pospieszy w dniu tym na ten tak sympatyczny ze względu na swój cel wieczór, by zobaczyć choćby ten jeden fragment z głośnej sztuki wielkiego poety francuskiego w interpretacyi pierwszorzędnych artystów sceny polskiej.



Ochronka, założona przez dzieci: Dziatwa z ochronki *Mojego Pisemka*, wraz założycielką p. M. Bujno-Arctową.

Kronika tygodniowa.

(Nareszcie już po Świętach. — Figle przyrody. — Match footballistów. — Jak ja spędziłem Święta? — Wielki Czwartek i wenta. — Wielkopiątkowe wędrówki. — Wielka Sobota i początek nieszczęścia. — Niedzielne umartwienia moje i mej połowicy. — Cuda olejku rycynowego. — Emaus z matchem. — Rękawka ze śniegiem. — O Podgórzu słów kilkoro. — Z miłych wspomnień. — Wielki Kraków i reforma wyborcza. — Kobiety ojcami miasta. — Podrożenie kapeluszy męskich. — Nowy porządek).

Nareszcie święta Wielkiejnocy minęły szczęśliwie, zostawiając po sobie jedynie przyjemne wspomnienia i wyłomy, jakie zrobiły w „betonie" naszych (t. j. mężowskich) kieszeni i zdrowiu. Czy się udały, tego twierdzić jeszcze nie mogę, dopóki nie pojawi się statystyka policyjna z owych dni i sprawozdania aptekarskie o ilości skonsumowanych różnych specyfików, które w okresie poświątecznym cieszą się taką wziętością. Skonstatować należy, że o ile pogoda w ostatnich dniach wielkiego tygodnia i w pierwsze święto Zmartwychwstania była wprost wspaniała, o tyle na Emaus popsuła się zupełnie, a już w dniu Rękawki przedstawiała się tak wstrętnie, że i wspominać o niej nie należy! Podgórze narzeka, że to jest intryga Wielkiego Krakowa, który się w ten sposób mści za niechęć, okazywaną w sprawie przyłączenia do wielkiej stolicy lub choćby pobierania deszczówki z jej wodociągów. Natomiast zapisać należy złotemi głoskami w dziejach naszego narodu, że właśnie w ów emausowy poniedziałek, krakowska „Wisła" pobiła prnską drużynę footbalową w stosunku 5:0, czem podobno tak zirytowała cesarza Wilhelma, iż postanowił sam osobiście zająć się ćwiczeniami swych drużyn, aby je na przyszłość uchronić od podobnie sromotnych porażek. A jest to jedyna specyalność, którą dotąd władca Wszechniemców się nie zajmował, będąc pewnym, że jego poddani w „kopaniu" są przecież mistrzami nad mistrze.

Co się tyczy mojej niegodnej osoby, to spędziłem Święta, jak przystało na obywatela, umiejącego odpowiednio zastosować się do tradycyi i pogodzić piękne z nadobnem. Już od Wielkiego Czwartku pracowałem gorliwie dla dobra moich P. T. Czytelników, udałem się bowiem tego dnia na loteryę spożywczą do Ujeżdżalni, gdzie udało mi się wygrać butelkę tak znakomitego wina, iż natychmiast posłałem ją mojej teściowej, aby w dzień Wielkiego Piątku mogła się należycie... umartwić. Wzruszyła ją też moja pamięć, po wypiciu jednak tego specyału rozindyczyła się do tego stopnia, iż obiecała mnie wydziedziczyć i wnieść skargę do prokuratoryi o usiłowane otrucie. Niech jej Bóg nie pamięta tej niewdzięczności, którą mnie nakarmiła!

W Wielki Piątek i Sobotę, kiedy przygotowania domowe w całej pełni, zwiedzałem przykładnie groby i umartwiałem grzeszne cielsko absolutnym postem, w domu bowiem, prócz marynowanego śledzia, z którego dostał mi się ogonek i pieczonych ziemniaków, innych smakołyków mi nie podano! Z tem większym apetytem połknąłem tuzin kanapek u Hawełki i porcyę łososia u Kuczmierczyka, co zakropiłem butelką zieleniaka u Gralewskiego, gdyż piwa, zwłaszcza pilzneńskiego, będącego wytworem pruskich hakatystów, od dłuższego już czasu nie używam. Po rezurekcyi, otrzymawszy pozwolenie czcigodnej magnifiki, zabrałem się do spróbowania różnych wieprzowych delikatesów i tak gruntownie zepsułem swój organ trawienia, iż przez całą noc musiałem się leczyć, aby w niedzielę rano w całej pełni sił ciała i ducha być gotowym do dalszych doświadczeń żołądkowej wytrzymałości. Niech mi wolno będzie choć na tem miejscu wyrazić najgłębsze uznanie czcigodnej połowicy, która nie bacząc na zmęczenie, bezsennie noc całą koło mego łóżka spędziła, dając płci nadobnej piękny przykład małżeńskiego poświęcenia, o które teraz tak trudno!

Całą niedzielę zajęła mi wędrówka po znajomych, przyjaciołach i stronnikach politycznych. W każdym domu musiałem z grzeczności skosztować nalewki wyrobu pani domu, apetycznego prosiaczka jej własnego karmienia, jajecznik? ?obotу panny Zosi, przekładańca panny Loli, mazu ка panny Kazi i innych mniej lub więcej słodkich przysmaków, które znów zakrapiało się w antraktach coraz to innymi gatunkami „krajowego" węgrzyna. Nic też dziwnego, że koło ósmej wieczór tak już byłem „zmęczony", iż ledwie przy pomocy dorożki, stróża kamienicznego i jednego z przyjaciół znalazłem się wreszcie przed drzwiami swego małżeńskiego gniazdka, które jednak było zupełnie zimne, gdyż zacna połowica wyfrunęła w swym nowym „Chanteclerze" w odwiedziny do swych przyjaciółek, aby się naocznie przekonać o ich kucharsko-piekarskich tryumfach lub niepowodzeniach. Kiedy do domu powróciła, nie wiem; w poniedziałek rano, otwarłszy oczy, ujrzałem ją w łożnicy małżeńskiej mocno cierpiącą, z obwiązaną głową, narzekającą i przysięgającą, że więcej świąt nie będzie już nigdy urządzać, bo to tylko wyrzucone pieniądze, zniszczenie zdrowia i t. d. Na szafce nocnej koło łoża boleści wznosiła dumnie swą głowę potężna flacha z napisem: *Oleum ricini.*

Poniedziałek nie różnił się niczem od niedzieli, z tą jedynie odmianą, iż ja powędrowałem jako wytrzymalszy, aby obejść dalszy ciąg przyjaciół, żona zaś pozostała w domu, oczekiwała bowiem na cały zastęp znajomych pań, które zapowiedziały swe przybycie. Popołudniu, zamatulony we futro i uzbrojony w berl?cze, udałem się na Zwierzyniec, aby wziąć udział w Emausie, stamtąd zaś podążyłem na Błonia, aby pokrzepić ducha narodowym tryumfem naszych dzielnych footbalistów, którzy bodaj nogami pracują dla chwały naszej ojczyzny! Wieczorem, gdy lokale otwarły już swe gościnne podwoje, nie omieszkałem odwiedzić swej umiłowanej knajpki, gdzie zastałem całe grono przyjaciół, zajęte polityczną dyskusyą nad obecną kwestyą, stawiające horoskopy na przyszłość, omawiające podróże władców bałkańskich, wizytę królowej bułgarskiej w sułtańskim haremie i inne o mniejszej lub większej doniosłości wydarzenia. Do wtorku w połdnie pozbawieni jesteśmy duchowej strawy pod postacią zadrukowanej bibuły, przeżuwamy więc tylko dawniejsze wiadomości, oczekując niecierpliwie na pojawienie się bodaj jakiegoś najmizerniejszego organu tak zwanej opinii publicznej.

Wtorek, czyli dzień Rękawki, zawiódł nas najzupełniej. Od samego rana t. j. od szóstej godziny, gdyż skonstatowałem to na własne oczy, wracając właśnie z owej politycznej pogawędki (jako człowiek praktyczny, chcący sobie oszczędzić szpery), sympatyczny śnieżek począł sobie padać i pokrył plantacye i dachy białym całunem, od którego śmiesznie odbijały letnie tramwaje, mające przewieść ciekawych na Podgórze. Z obowiązku kronikarskiego podążyłem i ja tamże, zwłaszcza, że kilku znajomych za Wisłą oczekiwało na mnie z resztkami święconego. Napływ publiczności na Krzemionki był tego roku bardzo słaby, przyczynił się do tego główni śnieg i niepogoda, a zarazem zawiadomienie magistratu podgórskiego, iż uroczystość Rękawki odkłada się na niedzielę. Pomimo śniegu, zimna i błota, pociągnęło na Podgórze stosunkowo dość Krakowian, żałujących mocno, że tej gminy nie udało się włączyć w obręb Wielkiego Krakowa. Ja Podgórzanom nie dziwię się wcale, iż nie mieli ochoty zlać się w jedną całość z Krakowem, nie pozwalała im na to ich prowincyonalna duma, a zarazem i względy utylitarne, poсóż bowiem brać na siebie jakieś ciężary, skoro przecież na każdym kroku, mówiąc po lwowsku, „za bezdurno" korzysta się z Krakowa...

Bawiłem się stosunkowo bardzo dobrze, choć ciągle przerażała mnie myśl, czy przypadkiem nie wybuchnie znów jaka prochownia, gdyż całe Podgórze jest niemi otoczone. Sam wybuch, to ostatecznie rzecz mniejsza, bałem się tylko, że w razie jakiegoś uszkodzenia mej cielesnej powłoki, musiałbym zbyt długo czekać na odszkodowanie, gdyż, o ile wiem, wszyscy ci, którzy ponieśli szkody w czasie zeszłorocznej katastrofy, dotąd jeszcze oglądają się z tęsknotą w stronę Wiednia, skąd ma nadpłynąć upragniona flota. Pocieszyłem też jednego z mych przyjaciół, który polikwidował sobie odszkodowanie za wybite dwie szyby i fatalne skutki przestrachu (dołączył nawet notaryalne poświadczony rachunek z pralni), że długo jeszcze może oczekiwać na wynagrodzenie szkód, spodziewane bowiem przypłynie dopiero owym kanałem, który się wybudować uchwaliło, grunta pod niego wykupiło, a jednakże przecież go nie będzie! Mogłoby się komuś zdawać, że ja sobie może z niego żartuję, wyrażając się z takim przekąsem o kanałach, które nasi statystyci uznali za konieczne celem podniesienia krajowego dobrobytu (aby więcej wody było w Galicyi!), niech się jednak pocieszy, że niestety ja mam słuszność. Nasi politycy i ekonomiści powiedzieli: kanały potrzebne! Wiedeńscy jednak panowie orzekli, że obejdzie się bez nich, robiłyby bowiem niepotrzebną konkurencyę kolei. Ponieważ zaś ogólnie wiadomo, że nasze krajowe interesy schodzą zawsze na drugi plan wobec interesu naszej c. k. szerszej ojczyzny, możemy więc zupełnie spokojnie położyć krzyżyk nad owymi kanałami, których ani my, ani nasi prawi potomkowie z pewnością nie doczekają.

Tak więc ukończyły się nareszcie święta Wielkanocne, a z ich końcem wszedł w życie Wielki Kraków, od dnia *prima Aprilis* rzeczywiście wielki... Ważne to dziejowe zdarzenie świetnił zapowiedziany umyślnie w tym celu wybuch Etny, a światowi politycy przez dwa dni nie mówili o niczem innem, jak tylko o Wielkim Krakowie. Jak dowiedziałem się z bardzo pewnego źródła, kwestya ta była przedmiotem poufnej rozmowy między Bethmannem Hollwegiem i papieżem Piusem, poruszano ją także w Petersburgu i Konstantynopolu i stwierdzono, że w niczem nie narusza równowagi europejskiej.

Z racyi rozszerzenia Krakowa przyjdzie może na tapet wcześniej nawet, niż się spodziewamy, sprawa reformy miejskiego prawa wyborczego, o reformie bowiem sejowej na razie ani mowy niema, gdyż konserwatyści wraz ze sprzymierzonymi ludowcami stawiają jej na każdym kroku najrozmaitsze przeszkody. Gdyby udało się przeprowadzić nową ustawę wyborczą do Rady miejskiej, największą radość sprawiłoby to naszym niewiastom, które nie tracą nadziei, że przecież raz uda się im dostać do Rady miejskiej. Skoro w Sztokholmie mogły już dwie baby zostać „ojcami miasta", dlaczegóż nie mają spróbować tego samego i nasze uświadomione niewiasty, które myślę, nie są wcale mniej wymowne od swych szwedzkich towarzyszek, a kto wie, czy ich nawet w tym kierunku nie przewyższają, jak to mogliśmy się już nieraz przekonać z oratorskich wyścigów o mistrzowstwo światowe, odbywających się codziennie na Placu Szczepańskim lub Małym Rynku, wobec których matche footballistów schodzą na drugi plan.

I znów dzięki płci pięknej ponosimy, a względnie dopiero poniesiemy szkodę. kapelusznicy oświad czyli bowiem, że nasze nakrycia głów podrożej o 35%, gdyż wyrób filcu spotyka się z coraz większemi utrudnieniami, a to głównie z powod że obecnie wchodzą w modę suknie damskie, ozd biane futrem, braknie więc materyału na wyrób filc Nie dość, że biedny mężu zapłacisz drożej za okr cie cielesnych kształtów twej połowicy, suknia b wiem bramowana futrem droższą będzie od zwycz nej, jeszcze za kapelusz, który pokryje twą łysine będziesz musiał zapłacić o połowę więcej! Chyba zawiążemy kartel antikapeluszowców i będziemy chadzać z gołemi głowami, lub też może wdzięczne małżonki ozdobią nasze czoła rogami, a wówczas kapelusze staną się zbyteczne! Tak czy owak, widzimy, że dzięki niewiastom znów nasze kieszenie będą na szwanki narażone, że zawsze i wszędzie spełnia się przysłowie: Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle!

Pocieszajmy się jednak tą myślą, że już niedługo naszego uciemiężenia, bo maluczko, a nadejdzie kometa, kiwnie ogonem, a cały świat i razem z nim Wielki Kraków rozsypie się w gruzy, na których powstanie nowe życie pod znakiem zupełnego zrównania obu płci pod każdym względem!

Czy my jednak tego doczekamy?

X.

„Manewry jesienne“ w Warszawie.

Znana i głośna dziś operetka Kalmana „Manewry jesienne“, wystawiana we wszystkich większych miastach z nadzwyczajnem powodzeniem, ukazała się



Fragment „Chanteclera“ na scenie polskiej: Dyalog koguta z bażancicą. (Pp. Ordon i Tarasiewicz).

[pr]zed kilku dniami i w Warszawie na deskach „No[w]ości“. Starannie i umiejętnie wyreżyserowana przez [L]udwika Śliwińskiego, cieszy się, ta operetka węgierska jak to było do przewidzenia, zasłużonem i w Warszawie niebywałem powodzeniem. Bilety ciągle są wysprzedane na tydzień z góry.

Cała prasa, zazwyczaj dość a nawet zbyt kry[ty]cznie odnosząca się do wszelkich operetkowych przedstawień, tym razem nadzwyczaj pochlebnie od[zy]wa się tak o kompozycyi muzycznej jak i o fabule operetki.

Staranna gra artystów a szczególniej gra primadonny operetki warszawskiej, Wiktoryi Kaweckiej, której dzielnie sekunduje ulubieniec publiczności warszawskiej Władysław Szczawiński, zapewniają „Manewrom jesiennym“ powodzenie na długi czas, tembardziej, że „Nowości“ dołożyły starań, by operetka pod względem wystawy i szaty dekoracyjnej wypadła jak n[aj]wspanialej.

Obok zamieszczamy fotografie p. Kaweckiej i p. Władysława Szczawińskiego w ich rolach głównych.

Dymisya prezydenta Dumy.

Rozstrój w rosyjskiej reprezentacyi parlamentarnej na ostatnich posiedzeniach przedświątecznych przybrał taki charakter, że dotychczasowy prezydent Dumy, Chomiakow, czuł się zmuszonym do złożenia dotychczas piastowanej przez się godności.

Skrajna prawica uniemożliwiała swem zachowaniem się normalne prowadzenie obrad, a prym pod tym względem dzierżył osławiony Puryszkiewicz, który sutemi obelgami szafował na wszystkie strony. Chomiakow, reprezentujący w prezydyum Dumy październikowców, rozumiał dobrze, że częste w ostatnich czasach objawy lekceważenia rosyjskiej Izby prawodawczej z ostrzem swojem zwracają się przedewszystkiem przeciw jego stronnictwu, które, aczkolwiek nie porzuciło szeregów większości rządowej, zerwało jednak z premierem Stołypinem prawie zupełnie stosunki. Wystarczyło, że ministrowie przestali uczęszczać na obrady, by Puryszkiewicze i jemu podobni rozpoczęli urządzanie w Izbie skandali, nie licujących wcale z powagą Dumy.

Mimo wszystko stronnictwo październikowców nie dało nawet po rezygnacyi Chomiakowa za wygrane i na to odpowiedzialne stanowisko wysunęło swego przywódcę i jednego z najzdolniejszych parlamentarzystów rosyjskich, A. J. Guczkowa.



Dymisya prezydenta Dumy: Mikołaj Chomiakow.

Zakład wojskowo-naukowy w Krakowie.

Założony w r. 1901, jako pierwsza w tym rodzaju szkoła w Krakowie, a prawdziwie niezbędna, w ciągu lat dziewięciu miał 340 uczniów i 136 internistów. W tym krótkim czasie bardzo się ten zakład miastu i krajowi zasłużył.

Przyspasabiając do wojskowego egzaminu inteligencyjnego, ocalił setki młodzieży od trzechletniej służby wojskowej. Nie ukończywszy szkół średnich, nie mając egzaminu dojrzałości, zyskała ta młodzież w zakładzie majora Kornbergera prawo do jednorocznej służby. Jak ścisłą, jak sumienną była nauka w tym zakładzie, świadczy najlepiej to, że znaczna część młodzieży, przysposobiona do egzaminu inteligencyjnego, zdawała potem bez trudności egzamin dojrzałości.

Zakład przyspasabia też bezpośrednio do matury, zarówno gimnazyalnej, jak i realnej, a w tak krótkim czasie, w jakim ucząc się prywatnie, nawet najpilniejszy uczeń przygotowaćby się nie zdołał.



Fragment „Chanteclera“ na scenie polskiej: Tarasiewicz jako kogut.

Przygotowują się też w zakładzie prywatyści do wszelkich egzaminów wstępnych i prywatnych, wszystkich klas gimnazyalnych i realnych.

Wielu uczniów kształci się w tym zakładzie do wojskowego zawodu, sposobiąc się do egzaminu kadeckiego, a pozyskuje tu naukę w tych samych warunkach, co w szkołach kadeckich, chociaż na znacznie krótszy czas rozłożoną.

Ileż to młodzieży naszej musiało dawniej udawać się do Wiednia, aby tam się przygotowywać do egzaminu inteligencyjnego. Zakład majora Kornbergera nietylko zatrzymał polską młodzież w kraju, ale ściąga do nas co roku liczne gromadki Czechów i Niemców ze Śląska, Moraw i Czech. Spie-



Fragment „Chanteclera“ na scenie polskiej: Ordon-Sosnowska jako bażancica.

szy tu młodzież obca, bo zakład Kornbergera pozyskał sobie uznanie w całej monarchii.

W tak krótkim czasie wykształcił zakład wielu oficerów, zarówno w piechocie jak i w kawaleryi, odznaczających się znakomitem uzdolnieniem do wojskowej służby.

Umieszczony w dawnym pałacu hr. Dębickich na tak zwanej „Wenecyi“, posiada zakład przestronne, jasne, wygodne sale naukowe. Dla internistów jest znakomicie urządzony pensyonat, z czytelnią, salą do zabawy, łazienką. Oświetlenie elektryczne, wszędzie wzorowa czystość, porządek wojskowy, a nad uczniami pensyonatu opieka ojcowska, prawdziwie pedagogiczna. Bywały wypadki, że nawet takich zakład świetnie wychował, o których właśni rodzice zwątpili.

Obszerny ogród okala pałac. Jest tam miejsce do zabaw, do robót ziemnych, praktykowanych w najnowszych, najznakomitszych zakładach angielskich. Doskonałe powietrze i światło sprawia, że bardziej zdrowego, bardziej wygodnego dla młodzieży umieszczenia w mieście uzyskać nie można.

Wygoda też dla rodziców i młodzieży wielka polega na tem, że każdej chwili zakład internistów przyjmuje i naukę z nimi natychmiast rozpoczyna.

Bez przesady powiedzieć mozna i należy, że zakład majora Kornbergera jest chlubą Krakowa.

Jeden z ostatnich oficerów sławnego pułku ułanów, co pod Custozzą tak zdumiewające odniósł zwycięstwo w r. 1866, pracuje major Kornberger na pożytek młodzieży, na pożytek kraju z taką dzielnością, z jaką owi ułani, sami Polacy, z okolic Krakowa, pod sławnym swym pułkownikiem Rodakowskim, rozbijali bagnetem najeżony mur nieprzyjacielskich szeregów.

Bitwa z bandytami.

Do jakiej czelności zdolni są bandyci w Królestwie polskiem, dowodzi wypadek, który rozegrał się w ubiegłym tygodniu w lesie hr. Branickiego, między Wawrem a Miłosną. Oto lasem tym wracało z miasta kilku włościan. W drodze opadła ich banda rzezimieszków, chcąc zrabować im pieniądze, jakie mieli przy sobie. Strzałami rewolwerowymi zmusili jadących do zatrzymania się, poczem rozpoczęli rewizyę, zabierając oczywiście wszystką gotówkę. W tej chwili zjawił się w miejscu rabunku pewien obywatel z sąsiedztwa, a zobaczywszy, co się dzieje, stanął w obronie rabowanych, prażąc bandytów strzałami z rewolweru. Wnet atoli musiał się ów obywatel poddać, bandyci bowiem zwrócili swe rewolwery ku niemu, grożąc niechybną śmiercią.

Na szczęście usłyszeli strzały dwaj strażnicy, którzy podówczas znajdowali się w pobliżu. Przygalopowali więc niezwłocznie konno na miejsce walki i strzałami z brauningów poczęli razić bandytów. Powstało ogromne zamieszanie, z którego przedewszystkiem skorzystali włościanie i obywatel i uciekli z życiem z strasznego miejsca. Tymczasem bandyci poczęli się cofać ze środka szosy ku drzewom, przedtem jednak jeden z nich, ugodzony kulą strażnika, poniósł śmierć na miejscu, drugiego zaś strażnicy żywcem ujęli. Jest nim cygan Ditlow, od paru miesięcy członek bandy rabusiów podmiejskich.

Na podstawie zeznań Ditlowa podjęła żandarmerya śledztwo i następnego dnia przyaresztowała całą bandę.



Bitwa z bandytami: Zabity w walce bandyta.

Rozrywki świąteczne w Rumunii.

Podobnie jak wśród naszego ludu przechowało się kil a tradycyjnych obchodów i uroczystości, związanych z świętami Wielkanocnemi, że wspomnimy o krakowskich „Emausie“ i „Rękawce“, także wśród innych narodów żyją pewne zwyczaje, ktorych ludność miejscowa z wielką troskliwością przestrzega i obserwuje.



Bitwa z bandytami: Cygan Ditlow.

Przeważnie są to zabawy ludowe pod gołem niebem, zabawy huczne, hałaśliwe, wesołe, do czego usposabia nie mało i przyroda, jako że święta Wielkanocne przypadają na wiosnę, najpiękniejszą porę roku.

Rycina nasza przedstawia właśnie scenę z takiej świątecznej zabawy ludowej w jednej z wiosek rumuńskich.



Rozrywki świąteczne w Rumunii: Scena z zabawy ludowej w Rumunii w czasie świąt Wielkanocnych.

Henryk Drzewiecki.

Sezon operowy we Lwowie dobiega do końca. Jeszcze tylko parę występów gościnnych wielkich gwiazd europejskiej sławy, poczem przerwa niedługa i wyjazd do Krakowa na lato.

Sezon tegoroczny był znacznie skromniejszy niż szereg poprzednich za dyrekcyi p. Hellera. Złożyło



Henryk Drzewiecki.

się na to wiele przyczyn. Przedewszystkiem jednak stanowisko krytyki w części lwowskiej prasy, która umiała zawsze „wymacać“ słabsze strony przedstawienia, choćby ich nie było, miała zaś oczy i uszy zamknięte na tyle dobrych, tyle pięknych. Wobec tak wrogiego stanowiska niektórych krytyków, postanowił dyr. Heller prowadzić operę w skromniejszych granicach, w granicach tych, jakie określa umowa z gminą.

I tak jednak dostarczył sezon operowy miłośnikom muzyki poważnej sporo miłych i pięknych wrażeń, dzięki doskonałemu a wyłącznie z sił rodzimych złożonemu zespołowi śpiewaczemu. Na czoło jego wysunął się znowu wyborny śpiewak, tenorzysta Henryk Drzewiecki, znany już dobrze publiczności lwowskiej z występów w latach poprzednich.

Drzewiecki, jako student uniwersytetu petersburskiego, rozpoczął naukę śpiewu, zwrócono bowiem ogólną uwagę na jego piękny, bogaty materyał głosowy. Rozpoczęte w petersburskiem konserwatoryum studya, kontynuował we Włoszech, gdzie też debiutował z ogromnem powodzeniem. Po dwu latach pobytu na scenach włoskich, zawitał Drzewiecki do Polski i wystąpił w teatrze lwowskim, zdobywając odrazu sympatyę publiczności i niezwykłe powodzenie, jako śpiewak bardzo inteligentny, obdarzony głosem wielkim, dźwięcznym, doskonale ustawionym, jako artysta w grze bardzo umiarkowany, a pełen talentu. Krytyka lwowska, choć bardzo surowa, nie szczędziła mu wyrazów uznania, to też każdy jego występ ściągał tłumy publiczności do teatru.

Po dwu latach porzucił Drzewiecki Lwów i przeniósł się do Warszawy, gdzie nie mniej gorąco go witano. W krótkim już czasie stał się ulubieńcem całej muzykalnej Warszawy.

Ostatni sezon spędził we Lwowie, jako wykonawca wszystkich partyi tenorowych o charakterze lirycznym. Publiczność powitała bardzo serdecznie swego dawnego ulubieńca i przez cały czas jego we Lwowie pobytu darzyła objawami serdecznej życzliwości. Również krytyka nie szczędziła mu słów gorącego uznania.

Jubileusz znakomitej artystki.

Z pośród licznego grona istotnie pierwszorzędnych, bardzo wybitnych artystów, pracujących, na scenie lwowskiego teatru, bodaj że największą cieszy się sympatyą i popularnością pani Anna Gostyńska, najdzielniejsza dziś niewątpliwie przedstawicielka ról charakterystycznych w polskim świecie teatralnym, a kto wie czy i za granicą mająca równą sobie.

W pierwszych dniach b. m. mija lat trzydzieści od chwili, kiedy znakomita ta artystka rozpoczęła pracę na deskach teatru hr. Skarbka we Lwowie, debiutem w komedyi Bałuckiego p. t. „Krewniaki“. Już wówczas podobała się młodziutka sympatyczna artystka i już wówczas przepowiedziano jej znakomitą przyszłość.

Przepowiednia w całej pełni się sprawdziła. Wielki talent i zadziwiająca pracowitość musiały zresztą wydać takie rezultaty. Objąwszy w teatrze lwowskim dział postaci charakterystycznych, stała się Gostyńska istotną podporą zespołu tamtejszego i jego niezwykłą ozdobą. Trzeba Gostyńską widzieć



Jubileusz znakomitej artystki: Anna Gostyńska.

na scenie, trzeba się przypatrzyć jej grze, jej wyrazistej mimice, trzeba przysłuchać się jej miłemu głosowi, odczuć z nią razem skalę wzruszeń, odczuć tak, jak ona odczuwa grając, aby ocenić należycie wartość i wielkość jej talentu. Jest cały szereg sztuk, których — jeśli się je widziało z udziałem p. Gostyńskiej — nie podobna sobie bez niej wyobrazić. Są to przedewszystkiem te sympatyczne postaci ciotek, gospodyń, starych panien, postaci pełne komizmu i dobrodusznej poczciwości, są to dalej partye na wskróś dramatyczne, jak wdowa w „Balladynie“, jak baba Jaga w „Dzwonie zatopionym“, jak matka w „Nadziei“ i cały szereg innych, które wielka ta artystka na scenie lwowskiej w ciągu trzydziestoletniej, nieprzerwanej pracy kreowała.

Główną a wielką zaletą gry Gostyńskiej jest bezpośredniość. Odtwarzając na scenie jakąś postać, artystka zapomina o sobie, zapomina, że gra, a daje typy żyjące, odczuwa na scenie to wszystko, co dana postać przeżyła. Więc w rolach jej jest tylko szczerość i prawda, obok ogromnej siły ekspresyi. I tem właśnie zdobywa sympatye publiczności i jednomyślne uznanie krytyki.

Kochają więc Gostyńską koledzy, nie skąpi jej uznania dyrekcya, kochają ją Lwowianie i nawzajem ona Lwów i scenę lwowską ukochała całą duszą. Służy też jej wiernie i nie opuściła dotąd ani na chwilę, nawet na występy gościnne na innej scenie.

A nietylko jako artystka, ale i jako kobieta-obywatelka zajmuje Gostyńska wybitne we Lwowie stanowisko. Charakter szczery, otwarty, czysty jak łza. Przejęta uczuciami filantropijnemi, należy do całego szeregu towarzystw dobroczynnych, służąc im zawsze chętnie radą i czynem. Głęboko wykształcona, oczytana, interesuje się żywo wszystkiemi aktualnemi sprawami społecznemi, zabiera też często głos publicznie, broniąc zawsze sprawy czystej i uczciwej.

Zapowiedziana na dzień pierwszego kwietnia uroczystość jubileuszowa, da z pewnością szerokim kołom lwowskim sposobność zamanifestowania uczuć serdecznej życzliwości i niekłamanej sympatyi, dla tej pięknej, szlachetnej postaci, artystki obywatelki.

Do życzeń, które w tym dniu ceniona artystka otrzyma, dołączamy z naszej strony najserdeczniejsze „Szczęść Boże“ w dalszej pracy na pożytek polskiej sceny i sztuki.

Z półek księgarskich.

Nakładem ruchliwej księgarni W. Zuckerkandla w Złoczowie opuściły prasę dalsze tomiki **Biblioteki powszechnej,** zawierające:

Nr. 786. Aleksandra hr. Fredry: *Świeczka zgasła.*

Nr. 787—788. Maksyma Gorkiego: *Ostatnia sztuka* w czterech aktach, przekład F. B.

Nr. 789—790. Maurycego Heyermansa: *Ghetto.* Dramat w trzech aktach, przekład Andrzeja Marka.

Nr. 791—796. Maurycego Jokaja: *Kobieta z morskiemi oczyma,* przekład A. Cadier.

Nr. 797. Juliusza Słowackiego: *Beatryks Cenci.* Tragedya w pięciu aktach.

Nr. 798—799 Władysława Jankowskiego: *W loży masońskiej.* Karta z życia i twórczości K. Brodzińskiego

Nr 800 *Sport łyżwiarski,* z 8 rycinami w tekście. Napisał B.

Wydawnictwo nader pożyteczne a przytem bardzo tanie zasługuje na ogólne poparcie.

Z Macierzy polskiej donoszą nam, że z powodu rocznicy grunwaldzkiej wyjdzie nakładem Macierzy w pierwszych dniach kwietnia książka profesora Uniwersytetu krakowskiego Dra Wiktora Czermaka. Będzie to praca napisana przystępnie, ale oparta na wynikach najnowszych badań naukowych i własnych studyów autora, ozdobiona bardzo licznemi rycinami Kosztować będzie 1 koronę.

Większą ilość egzemplarzy (z opustem) można już teraz zamawiać w Administracyi Macierzy Polskiej (Lwów, Gmach Sejmowy).

Nakładem Redakcyi **„Kupca Polskiego“** w Krakowie wydaną została książka pt. **„Towarzystwo“** napisana przez Dra A. Bollanda, c. k. Profesora Akademii Handlowej, chemika Sądu krajowego w Krakowie, jako pierwszy polski, zupełny podręcznik tej gałęzi wiedzy.

Towaroznawstwo to obejmuje w 19 rozdziałach całokształt tej nauki. W odniesieniu do każdego towaru podawane są wyczerpujące szczegóły.

Mamy nadzieję, że książka tego rodzaju stanie się niezbędną dla każdego, kto z życiem handlowem ma jakąkolwiek styczność, a więc stanie się doradcą dla szerokich warstw kupiectwa, dla Kółek rolniczych, dla władz autonomicznych i t. d. Z drugiej strony jesteśmy przekonani, że tego rodzaju wydawnictwo spotka się z poparciem tych naszych sfer, które każdą akcyę, zmierzającą do podniesienia handlu, z radością widzą i chętnie popierają.

Kącik humorystyczny.

Nowe przepisy pojedynkowe.

§. 1. Pojedynek zakazany jest ustawami, obowiązującemi w państwie austryackiem.

§ 2. Kto postępuje według tych przepisów, dopuszcza się obrazy czci stanu oficerskiego, kto natomiast ich nie uznaje, ma prawo ułaskawienia... na śmierć z ręki przeciwnika.

§. 3. Liga antipojedynkowa dąży ciągle do złagodzenia przepisów obowiązujących, dlatego też na większą odległość jak trzydzieści kroków, przeciwnicy strzelać do siebie nie mogą.

§ 4 Dozwala się używania przy pojedynkach wszelkiej broni, palnej i siecznej, z wyjątkiem haubic i karabinów maszynowych.

§ 5. Kula która przedziurawi czaszkę przeciwnika. nie zawsze ma być uważaną, jako strzał w „próżną przestrzeń“.

W Anglii.

— Tak milordzie! To straszna rzecz z naszym budżetem! Czterdzieści milionów funtów na flotę!

— Tak jest, to ogromnie *wiele!*

— Ależ, gdzież tam! To ogromnie *mało!*

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12.

Łamigłówka:

H e k l a
e r y k
n a n s e n
r e n a t a
y o r k
k a l w i n
s i r k o
i n d y k
e r a z m
m a n n a
l a k r a
r a n e k
a n t y k
d e m o n
z e f i r
k o r b a
i m b i r

Szarada: Irenka.

Figielek: Cook.

Zagadka geograficzna:

M a t a p a n
a — — r — — i
l a r i s s a
a — — z — — g
b o l o n i a
a — — n — — r
r o m a n i a

Szarada: Chrzanowska.

Zadanie do przestawienia: Kto rano wstaje, temu Pan Bóg d je.

Zadanie do przestawienia: Przez posły wilk nie syty.

Rebus: Żebrak śmielszy bywa do Pana Boga niż do ludzi.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, M. Pianecka Kraków, F Gebhardt Kr ków, W. Potocka Kraków, M Lisiewicz Lwów, W. Remiszewski Płock, J Ptak Radymno, W. Łopatkiewicz Warszawa, S. Rogoziński Stanisławów, B. Loth Kraków, W. Sagnicki Łódź, R Lichański Warszawa, S. Rybiński Głogow, L Oszacki Kraków, W. Radoszewski Krosno, J Lemański Warszawa, K. Kaim Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, C. Lipecki Radom, M. Bukowska Koło, R. Malawski Rzeszów, W. Siebnicka Łomna, M. Łaszkiewiczowa Czudec, S Macieliński Jabłonica, H. A. Krupecki Warszawa, J. Badura Rożdzień, K Fuchs Czeremchów, M Kulikowska Lwów, J Lewicki Krosno. M Gajewski Lubiąż, L Balik Częstochowa, K. Buraczewski Łódź, J. Grzesicki Nowy Sącz, K. Dudek Nowy Targ, W. Ostrowski Warszawa, J. Lam Sambor, J. Wyka Kraków, M Kostmanowicz Kołomyja, T. W lczyński Tarnopol, J. Pick Warszawa, J. Lisowski Kraków, K Miaskowski Płock, R Konopacki Warszawa, K Englisch Kraków, G. Głuchowski Łódź, K Pilecki Radom, A Barbecki Lwów, W Lech Kalisz, W. Lasociński Kraków, J. Nowacki Sambor, M Radoń Kołomyja. J. Pankowski Krosno, F. Frankowicz Podgórze, J Rumiński Jodlów, M Kula Kraków, W. Thun Rzeszów, S. Jelonek Biliny, K Boczarski Kraków, S Sokołowski Kraków, L Dębicki Rzeszów, M. Blachowski Sanok, R. Umiński Wiśniowa, K. Dworzański Tarnopol.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Rybiński Głogów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

W dniu 14 bm. odbyło się w Krakowie u Radcy dworu prof. Bolesława Wicherkiewicza, jako prezesa, posiedzenie Rady nadzorczej Stowarzyszenia **„Sanatoryum dla chorych piersiowych w Zakopanem“.** Obecni byli: Hr. Franciszek Ordynat Potocki, prof. Dr. Kazimierz Kostanecki, Dr. Józef Surzycki, p. Kazimierz Czapelski, Dr. Kazimierz Dłuski jako Dyrektor i lekarz naczelny zakładu, wreszcie pan Dyrektor Mieczysław Sędzimir jako prezes komisyi rewizyjnej Stowarzyszenia.

Sprawozdanie Dyrektora wykazało znaczny rozwój Sanatoryum zarówno pod względem lekarskim, jak i hotelowym. Ubikacye lekarskie przeniesiono na parter i powiększono znacznie. Salony, również na parter przeniesione, zostały przytem artystycznie dekorowane przez artystów i tworzą bardzo miłe miejsce zebrań dla pacyentów w godzinach wolnych od leczenia. Urządzono maszynowe mycie i sterylizacyę całego naczynia, nowe laboratoryum chemiczno-bakteryologiczne, wreszcie pracownię Röntgena. Frekwencya stale się wzmaga dzięki coraz bardziej wzrastającemu zaufaniu lekarzy i publiczności do Sanatoryum.

Sprawozdanie komisyi rewizyjnej referowane przez pana Mieczysława Sędzimira dyrektora Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu w Krakowie, oświetla w bardzo pochlebny sposób ogólne prowadzenie i gospodarkę Zakładu; buchalterya również jest wzorowo prowadzona. Zamknięcie rachunkowe za rok 1909 wykazało po raz pierwszy czysty zysk, postanowiono przeznaczyć takowy na 4% dywidendę od udziałów, co jednak zatwierdzonem być musi przez Walne Zgromadzenie udziałowców, odbywające się zwykle w miesiącu sierpniu. Zatwierdzono również preliminarz budżetu na rok 1910. W końcu wyrażono gorące podziękowanie obojgu pp. Drom Dłuskim za ich sumienną, gorliwą i kompetentną pracę dla dobra Zakładu, dzięki czemu został on postawiony i jest stale utrzymywany na wysokim poziomie zarówno pod względem lekarskim, jak i hotelowym i może chlubnie spełniać swe zadanie oraz przynosić doniosłe usługi polskiemu społeczeństwu.

Nowa gra towarzyska. Nakładem firmy C. Szczurkowskiego ukazała się niedawno i jest do nabycia w handlach z zabawkami nowa a nadzwyczajnie zabawiająca gra towarzyska p. t „Sokół“, ułożona przez aktorkę, ukrywającą się pod pseudonimem „Mira“.

Zaletą gry „Sokół“ jest obok jej prostoty szlachetna tendencya zachęcenia najszerszych kół do ćwiczeń gimnastycznych i sportowych uprawianych przez tow. gimnastyczne „Sokół“.

Wykonanie artystyczne i niska cena, powinna zachęcić publiczność do nabywania tej gry, która pod każdym względem przewyższa tego rodzaju pomysły importowane masami z zagranicy.

Cyrk Edison: Atrakcyą programu od piątku dnia 1 go. do czwartku dnia 7. kwietnia będzie obraz p. t S e n a r t y s t y — m a l a r z a dramat pięknie kolorowany podług G stona Velle'a grany przez pierwszorzędnych artystów paryskich /zdjęcie artystyczne/.

Reszta programu składa się ze zdjęć o treści pouczającej.

NADESŁANE.

L. C. 11/910.

Ogłoszenie.

Cech złotników i jubilerów w Krakowie przestrzega P. T. Publiczność, aby we własnym interesie **nie oddawała do naprawy przedmiotów złotych i srebrnych zegarmistrzom,** a to z tego powodu, że przyjętych do napraw przedmiotów sami wykonać nie mogą i są tylko pośrednikami i na zasadzie uprawnienia do wykonywania li tylko zegarmistrzowstwa nie wolno im przyjmować napraw.

P. T. Publiczność przez oddawanie do naprawy przedmiotów złotych i srebrnych zegarmistrzom **naraża się na znaczne straty** już ze względu na pośrednictwo i ze względu na to, że naprawa nigdy nie jest dokładnie uskuteczniona.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

3

Bez troski o tem, co o nim mówią, nie zwracając uwagi na służącą, która mu otworzyła drzwi, udał się wprost do pokoju Ludwiki.

Wszedł. Młoda panna, siedząc na krześle, odkryła twarz, którą zasłaniała rękami. Oczy miała suche i wydawała się jak gdyby osłupiałą. Pani de Lagunan oznajmiła jej, że jutro musi opuścić ten dom.

Nieszczęśliwa na widok Piotra podniosła się i zrobiła ruch, jak gdyby chciała biedz do niego, by wziął ją w swą obronę.

— Piotrze! — rzekła. — Pan wie już?... Te listy!... Ach!... Ocal mnie! Ja...

Zamilkła nagle; młody człowiek bowiem patrzył na nią wzrokiem ostrym i smutnym.

— Chciałem widzieć panią po raz ostatni... — odezwał się po chwili. — Jestem tak nędzny...

— Piotrze!

— Tak panią kochałem! — mówił dalej Piotr stłumionym głosem — tak, chciałem panią ujrzeć jeszcze, jak gdybym chciał tego, by pani nie należała już do żyjących...

Pierś Ludwiki podnosiła się konwulsyjnie.

— Boże mój! — jęknęła.

— Więc pan sądzi...? — zdołała z trudem wymówić.

— Proszę nic nie mówić... Niech pani pozwoli popatrzeć na siebie... Potem odejdę.

— Lecz ja nie wiem, co to są za listy! Ja nie wiem! To nie moje! nie wiem, skąd się one u mnie wzięły!

Załamywała rozpaczliwie ręce.

Piotr rozmyślał:

„— Komedyantka! Komedyantka jak wszystkie inne! Ach, to straszne! Czuję, że już jej nie kocham, a bez tej miłości nie mogę żyć!“

Spojrzał jeszcze raz na nią i rzekł:

— Żegnam!...

Żegnał nie młodą pannę, lecz żegnał swą zamarłą miłość.

Twarz Ludwiki skrzywiła się spazmatycznie... Jej wielkie, szare oczy zamknęły się. Piotr wychodził.

W chwilę potem zatrzasnęły się za nim drzwi pałacu baronostwa, a jednocześnie baronowa wchodziła do salonu.

Oczekiwał ją Maksym Duret.

— I co? — zapytał.

— Poszedł. Słuchałam pod drzwiami przez cały czas i nie straciłam ani jednego słowa.

— Jak się to odbyło?

— Jak nie można lepiej.

I Łucya de Lagunan powtórzyła rozmowę, jaką prowadzili z sobą młodzi ludzie.

— Doskonale! — rzekł spokojnie Maksym Duret. — Obecnie musimy zatrzeć tylko ślady naszej operacyi.

Wziął z konsoli paczkę listów i zbliżył się do kominka.

— Chcesz je spalić? — zapytała baronowa.

— Naturalnie. Pisma mego nie poznał ani Radoux, ani Piotr, doświadczeńsi jednak od nich mogliby domyśleć się... Nie można przechowywać podobnych dokumentów...

I Maksym Duret rzucił je do ognia. Potem wyjął z kieszeni portfel i dobył z niego karty wizytowe z nazwiskiem Karola Turnera.

— Resztę ze stu, które kazałem sobie zrobić, już zniszczyłem — rzekł. — Pozostały mi się tylko te.

I dorzucił je do listów w kominku.

— Tyś powinna to samo uczynić — dodał — ze swym kapeluszem z fiołkami i innemi drobiazgami, których używałaś, chodząc na ulicę Godot... Nigdy nie można być dosyć ostrożnym...

— Masz racyę...

— A teraz, kiedyśmy skroili, należy szyć i to szyć prędko... Kamilla musi jak najprędzej zostać panią Piotrową Cartelegue... Dopóki małżeństwo nie zawarte, nigdy nie można być go pewnym... Miałaś tego dowody.

— Istotnie... Na myśl mi nawet nie przychodziło jeszcze przed dwoma tygodniami, by Piotr mógł się zadurzyć w naszej nauczycielce!...

— A gdybyś tego nie spostrzegła zawczasu, bardzo możliwe, że teraz byłoby już za późno interweniować... Sprawa jednak załatwiona!... Przeszkoda usunięta!... Nie czekajmy, aż zjawi się jaka inna... Za miesiąc lub za dwa, smutek Piotra minie i wtedy wyznaczymy dzień ślubu...

Baronowa potwierdziła głową.

— A jeżeli Piotr uczyni jak Julian? — szepnęła.

— Ech! — odpowiedział prezes. — Powtarzam ci, że dwa razy nie trafia się na takiego Juliana! Bądź spokojna! Do widzenia, do jutra!

I uścisnął przytem rękę siostrzenicy tak spokojnie, jak gdyby się nic nigdy nie zdarzyło.

— Do jutra zatem! — powtórzyła baronowa.

Maksym Duret wyszedł. Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi wchodowe, pokojówka oparta, o stół w kuchni, zwróciła się do Alfreda.

— Ostatni gość już poszedł.

— Czas więc, bym i ja to uczynił — odparł „extra“.

Kończyli we trójkę swój obiad.

— Jakto? Chce pan już iść? — zaprotestowała kucharka.

— Czy nie ma pan może czasu? — zatrzymywała go pokojówka.

Obiedwie były jak gdyby zahypnotyzowane przez „extra“. Nigdy jeszcze nie miały tak miłego towarzystwa. Pokładały się od śmiechu z jego dowcipów i rumieniły na przemian, gdy uczuwały pod stołem, jak śmiało ich dotyka swą nogą.

— Już jest w pół do jedenastej—tłómaczył Alfred.

— Musimy jeszcze napić się ponczu — zapraszała kucharka.

— A możebyśmy tak zagrali w karty? — proponowała Małgorzata.

„Extra“ jednak wstał.

„— Jesteście bardzo miłe moje panienki — mówił do siebie — czas jednak Ernesta Panajona jest droższy, niż sądzicie... A zresztą nie mam już tutaj co robić... Dzięki waszym skazówkom i memu sprytowi znam pałacyk, jakbym go budował, a w kieszeni mej znajduje się już pół tuzina odcisków zamków... Do widzenia!“

Kładł na siebie zarzutkę i kapelusz. Obie kobiety nalegały jednak:

— Panie Alfredzie! Niech pan zostanie jeszcze chwilkę.

— Nie mogę! Proszę mi wybaczyć. Jest mi bardzo przykro.

Uśmiechnął się, ściskał je czule za ręce i dotarł do drzwi kuchni. Obie jednak służące nie opuściły go aż dopiero na ulicy i z utęsknieniem śled[illegible]ły o czami. Dojrzały też, jak się zatrzymał [illegible] pod latarnią.

Alfred wyjął kalendarzyk kie[illegible]szonkowy i przeglądał go.

— Dzisiaj mamy 4 luteg[illegible]... — wyliczał. — Przez dwa tygodnie wszystkie n[illegible]stępne noce mam zajęte... a nawet 18 mam dwa m[illegible]szkania do obłupienia, kokoty, u której wczoraj [illegible]odawałem na five o'clocku i akademika, gdzie b[illegible]łem przy obiedzie... Dopiero 19 lutego jestem wol[illegible]y...

Wyjął ołówek i pod datą zapisał: „Ulica Ampère, liczba 49. Potem ruszył szybkim krokiem naprzód, mrucząc do siebie:

— Tutaj jednak będzie nie obłupienie, lecz prawdziwe złupienie!... Wejdę głośno i otwarcie, nie skrywając się wcale, poznałem bowiem historyjkę, którą zamknę buzię każdemu, kto mnie nazwie włamywaczem!

III.

W dwa dni potem, Piotr Cartelegue znajdował się już na otwartem morzu, płynąc na *Provence*. Jechał do Nowego Jorku.

Gdy przyszedł do domu, rodzice tak byli przestraszeni jego zrozpaczoną miną, iż nie czynili mu żadnych wyrzutów. Na drugi dzień jednak rano ojciec prosił go, by bezzwłocznie pojechał do Stanów Ameryki, gdzie zamierzono otworzyć nową fabrykę. Od dłuższego czasu pragnął Cartelegue dla uniknięcia płacenia wielkiego cła od swych samochodów, wwożonych do Ameryki, założyć na miejscu swą fabrykę. Teraz nadeszła odpowiednia chwila. Wrażenia długiej podróży i zajęcie budową fabryki, ułagodzi zapewne ból biednego króla stu dwudziestu koni.

Teraz stał Piotr oparty o poręcz okrętu i przyglądał się burzliwemu morzu. Marzył. Oczy jego nie widziały zielonych fal, które kołysał zachodni wiatr. Zamiast przestworza, miał przed sobą obrazy przeszłości. Poznał Kamillę zupełnie młodą i od razu zawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń. Skorzystali z tego ich rodzice i oddawna już postanowili połączyć ich węzłami małżeństwa. Związku tego pragnęli bardzo baronostwo Lagunan, nie świetnie stojący pod względem majątkowym, jak również i Cartelegue'owie, milionowi fabrykanci, którzy chcieli gorąco związać się z rodziną barona, jedną z najstarszych rodzin francuskich. Lecz oto w dwa, czy w trzy tygodnie po uroczystych zaręczynach, Piotr zakochał się niespodzianie w nowej nauczycielce Kamilli. Przekonał się wtedy, że dla swej narzeczonej miał zawsze głębokie, lecz tylko braterskie uczucia, nie przypominające niczem tego, jakiego obecnie doznawał.

Zmieszało to bardzo młodego człowieka, lecz mimo chęci zapanowania nad sobą, zdradził się szybko ze swymi względami dla panny Dubois. Spostrzegła też to wkrótce i Kamilla. Pewnego razu wzięła swego narzeczonego na bok i wprost mu rzekła:

— Kochasz Ludwikę...

Piotr chciał zaprzeczać, lecz młoda panna ciągnęła dalej:

— I masz racyę, że ją kochasz! Jest cudowna pod każdym względem. Co do mnie, to jestem gotowa rzucić się w ogień za ciebie, ale nie poślubić cię... Jesteś bardzo miłym i pierwszym szoferem na świecie... To prawda, ale cóż robić? Ja już innego wybrałam sobie na męża!

Piotr stał jak osłupiały po tem wyznaniu, opanował się jednak na tyle, iż wyszeptał:

— Kamillo... Moja droga Kamillo...

Nie miał nic innego do now[illegible]ziemia. Chciało mu się jednocześnie [illegible]śmiać i płakać.

— A kto jest ten inny? — zapytał wreszcie.

— Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie dowiem się, czy mnie kocha... On nie zna mych uczuć.... I ja sama nic o nich nie wiedziałam jeszcze przed pięciu lub sześciu dniami... Potrzeba było dopiero tych zaręczyn i nadziei, że zostanę wkrótce panią Piotrową Cartelegue, by spostrzedz, że w głębi mego serca leży pragnienie pozostania panią... Ah! zdradziłabym się!

— A rodzice nasi? — zapytał Piotr.

— Nasi rodzice, co prawda, nie będą tem zachwyceni...

— Trzeba ich zawiadomić...

— Kiedy?
— Zaraz!
— Ja jestem zdania — odparła Kamilla — że lepiej poczekać.
— Czekać? na co?
— Na wielkie wyścigi... Ty zdobędziesz napewne pierwszą nagrodę...
— Tak! Terrade i ja będziemy jechali na maszynie o sile stu czterdziestu koni, będzie to najszybszy na świecie samochód!
— Gdy więc zostaniesz zwycięscą, zażądasz od ojca, by w nagrodę pozwolił ci się ożenić z kim zechcesz.
— A nie wspominać o tem Ludwice?
— Powiesz jej to zaraz jutro!

Następnego dnia Piotr zajechał samochodem po swą przyjaciółkę i pannę Dubois. W czasie jazdy oświadczył się nauczycielce i Kamilla sama złączyła ich ręce.

Pani Lagunan jednak na równi z córką odgadła tajemnicę Piotra i gdy pewnego razu młody człowiek i Ludwika pozostali na chwilę sami w salonie, baronowa podsłuchiwała pod drzwiami. Z kilku zdań, jakie ją dobiegły, nie dowiedziała się o roli, odegranej przez Kamillę, przekonała się jednak, że przypuszczenia jej są słuszne. Król stu dwudziestu koni zakochany był w nauczycielce i bez wahania poświęcał dla niej pannę de Lagunan. Baronowa pobiegła do Maksyma Dureta.

Na wieść, jaką mu przyniosła siostrzenica, dobroczynny prezes ani się nie ruszył, tylko szybkie mruganie powiekami zdradzało całe jego wzruszenie.

— A ja liczyłam na to, iż Cartelegue'owie pozłocą na nowo przytarty nasz herb — rzekła baronowa.

— A ja, że zdobędę przez to jakie dobrze wynagradzane prezesostwo — dodał Maksym Duret.

— Mamy tylko piętnaście tysięcy franków dochodu, a wydajemy koło sześćdziesięciu—westchnęła baronowa. — Kapitały nasze topnieją.

— A moje już dawno stopniały. Tyle tylko mam na życie, ile mi przynoszą me urzędy w radach zarządzających różnych towarzystw.

Duret nie zajmował się tylko filantropią. Czas swój dzielił między dobroczynnością a dobrze rentującymi się interesami. Drugie pomagały do zdobycia pierwszych i nawzajem. Towarzystwa finansowe miały sobie za zaszczyt, iż w liczbie członków ich zarządu znajduje się i ten poważny obywatel.

Po chwili milczenia odezwał się znowu filantropijny prezes:

— Piotr poślubi Kamillę!

Te trzy słowa zostały wymówione tonem rozkazującym, stanowczym i pewnym. Wuj i siostrzenica popatrzyli sobie prosto w oczy, nie mrużąc nawet powiek.

— Co mamy czynić? — zapytała Łucya.
— To, cośmy uczynili przed dwudziestu laty!
— Dobrze — zgodziła się z prostotą baronowa.

I Maksym Duret napisał natychmiast pierwszy z listów, które miały być adresowane do panny L. D. na pocztę przy ulicy Bayen. Łucya wynajęła sobie bezzwłocznie jeden pokój w oddalonej dzielnicy Paryża i kazała przynieść sobie tam okrycie i kapelusz, podobne do tych, jakie nosiła nauczycielka. Na drugi dzień przebrała się tutaj i udała się do pałacyku przy ulicy Godot-de Mauroi, gdzie oczekiwał już na nią wuj pod nazwiskiem Karola Turnera. Przedtem zachodziła na pocztę po listy, adresowane poste-restante.

Przez dwa tygodnie spotykali się tak Maksym Duret i baronowa i odbierali miłosne listy z poczty przy ulicy Bayen. Potem, nieczuli na nic, urządzili dramatyczną scenę, w następstwie której Piotr Cartelegue, uciekając przed swą boleścią, udał się do Nowego Jorku. Młody człowiek przeżywał teraz po raz wtóry wszystkie przejażdżki samochodem z Kamillą i Ludwiką i straszny wieczór, podczas którego miłość jego została tak śmiertelnie zranioną. Przez cały czas podróży pozostawał skupionym w sobie, niemym, ślepym i obojętnym na wszystko, co go otaczało. Ożywił się dopiero nieco po wylądowaniu w Nowym Jorku.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do rozwiązania.

Szarada.

Ułożyła Zofia Kulesza, Słomniki.

Pierwsze i czwarte żydzi otrzymali,
Gdy się po puszczy zgłodniali błąkali,
Trzecia i czwarta, gdy grubo skręcana,
To na okrętach bywa używana,
A gdy jej drugie dodasz na początku
Wnet się znajdziemy w uroczym zakątku
Po pochyłości wzgórza idąc żwawo;
Masz ją w Galicyi, masz i pod Warszawą.
Wszystko instrument niewielki, lecz mile
Dźwiękiem swym może uprzyjemnić chwile.

Łamigłówka.

Ułożyła Zofia Kulesza, Słomniki.

Uzupełnić podane wyrazy, aby początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko sławnego polskiego kompozytora.

— oki
— ama
— mor
— oce
— kar
— owa
— yko
— nna
— ata
— ika
— aza
— oga
— rys
— rna
— taw
— ola
— ora
— koń

Logogryf.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Środkowy rząd, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiej bohaterki.

□
— □ —
— □ —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Owad nocny. 3. Miejscowość kąpielowa w Prowincya. 4. Inaczej służba. 5. Imię męskie. 6. Rzeka w Galicyi. 7. Dopływ Oki. 8. Twierdza w Wirtembergii. 9. Roślina pokojowa. 10. Bogini mściwości (córka Zeusa). 11. Bogini sprawiedliwości. 12. Forma rządów.

Arytmograf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Cyfry i kwadraty zastąpić literami. Rząd pionowy, czytany z góry na dół i rząd poziomy utworzą znany utwór A. Mickiewicza.

□
1 □ 2
3 4 □ 5 6
□ □ □ □ □ □ □ □
7 8 □ 9 10
6 □ 11
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Wielki okres czasu. 3. Francuska piechota. 4. ? . 5. Inaczej godło. 6. Dopływ Dunaju. 7. Samogłoska.

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Pierwsza z drugą złego czeka
Za zbrodnicze chęci
Druga z trzecią, to duchowny,
Sobotę on święci.
Całość, rodzaj nowszej broni,
Choć daleko, lecz dogoni!

Szarada.

Ułożył T. Kulpa, Korzelice.

Pierwsza z drugą ludzi wozi,
Ogniem pędzisz ją, nie batem,
Pierwsza, druga, trzecia całość,
Dobrych chroni, złym jest katem!

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła Hela i Razik, Lublin.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie:
Wojna, wóz, spes, g, o.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *J. U. Niemcewicza*: **Pamiętniki z r. 1830—1831.** Wydał M. A. Kurpiel.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie